WIDNOKRĄG

TYGODNIK KULTURALNY

UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI"
Nr 37 (310)
ROK VII
10 września 1967 r.

ODSZEDŁ ERENBURG

Nie dożywszy lat siedemdziesięciu umarł Ilja Grigorjewicz Erenburg. Jeden z najlepszych pisarzy radzieckich i jedna z najciekawszych postaci epoki. Wytrawny poeta, płodny prozaik, niezrównany publicysta, którego felietony w latach drugiej wojny światowej czytywał każdy żołnierz radziecki i cały świat, tłumacz poetów francuskich i działacz społeczny.

Był to człowiek o pasjonującym życiorysie.

Syn dyrektora browaru, kijowianin, nie ukończył gimnazjum — wyrzucono go z szóstej klasy, bo nie miał czasu na odrabianie lekcji, zajęty lekturami Lenina i pracą w nielegalnej organizacji socjaldemokratycznej, działającej w moskiewskich szkołach średnich. Aresztowany w 1908 r, po pięciu miesiącach więzienia uciekł do Paryża, gdzie przeżył lata dzielące wówczas od rewolucji 1917 roku. Działał tam w organizacji bolszewickiej, poznał Lenina. Bywał zarówno w kawiarni przy Avenue d'Orleans, gdzie Lenin wypijał kufel piwa, jak i w „La Rotonde" przy bulwarze Montparnasse, gdzie bywalcami byli Apolinaire i Picasso, Diego de Rivera i Modigliani, Dunikowski i Max Jacob, Błażej Condrars i Chagall. Zaczął pisać i publikować wiersze, zakładać jedno po drugim efemeryczne pisma literackie rosyjskich emigrantów politycznych. Z tych lat datuje się jego niezmienna przyjaźń z Pablem Picassem i jego zainteresowanie nowoczesną sztuką europejską, zwłaszcza malarstwem. W ostatnim dziesięcioleciu swego życia Erenburg zrobił wiele, by przetrzeć drogę rozumieniu nowoczesnego malarstwa w ZSRR, gdzie trwały wówczas sztywne kanony naturalistycznej sztuki realizmu socjalistycznego.

W Siedemnastym, wrócił do rewolucyjnej Rosji. Pisał:

„W tę godzinę połogu, natchnioną i straszną,
Nie z piany morskiej, nie z lazuru niebios przecie —
Na czarnym gnojowisku, krwią omyte naszą
Rodzi się inne, wielkie rodzi się stulecie".

W cztery lata później znowu pojechał na Zachód, do Berlina, a potem do Paryża, tym razem już jako korespondent prasy radzieckiej. Przebywał na Zachodzie — z przerwami — przez lat dwadzieścia, tam też zaczął pisywać swoje słynne powieści od „Niezwykłych przygód Julia Jurenity" (1922) i „Burzliwego życia Lejzorka Rojtszwanca" (1927). Z niezwykłymi uczuciami odczytujemy dziś owe słowa herr Schmidta z „Julia Jurenity", napisane na lat dwanaście przed dojściem Hitlera do władzy: „Mogę być jednocześnie nacjonalistą i socjalistą", raz jeszcze zastanawiamy się nad proroczym niemal darem przewidywania przyszłości, którym bywają obdarzeni wielcy pisarze, kiedy herr Schmidt mówi do Francuzów i Rosjan w roku 1921: „Jesteśmy zmuszeni zorganizować was. Skolonizować Rosję, zniszczyć jak się da najdokładniej Francję i Anglię... Pozostawimy po sobie nagą ziemię... Czy się dla dobra ludzkości zabije jednego obłąkanego czy dziesięć milionów ludzi — to tylko arytmemetyczna różnica. A zabić trzeba..."

Już w swych pierwszych wierszach i w „Obliczu wojny" Erenburg ostro występował przeciwko wojnom imperialistycznym, w całej swojej wczesnej twórczości powieściopisarskiej i nowelistycznej demaskował świat kapitalizmu. W r. 1935 był jednym z organizatorów słynnego paryskiego Kongresu Obrońców Kultury, zaczątku frontów ludowych w Europie i masowego ruchu antyfaszystów. Wkrótce potem znalazł się w walczącej z faszyzmem republikańskiej Hiszpanii Znów pisał wiersze i płomienne artykuły do prasy moskiewskiej, przedrukowywane na całym świecie — dziennikarzem był zawsze, jednym z najświetniejszych dziennikarzy swoich czasów.

Wielką Wojnę Ojczyźnianą spędził na froncie radziecko-niemieckim, niemal codziennie pisując swoje słynne antyfaszystowskie felietony.

A kiedy zakończyła się druga wojna światowa i zaczęła się wojna następna, „Zimna wojna", Erenburg wszystkie swoje siły poświęcił ruchowi obrońców pokoju, którego był współorganizatorem i jednym z najaktywniejszych działaczy w dwu ostatnich dziesiątkach lat swojego życia. I znów obok dalszych powieści, „Burzy" i „Odwilży" — od której tytułu wzięła nazwę cała międzyepoka polityczna — pisał setki artykułów i felietonów, znakomitych i pełnych pasji, broniących pokoju, walczących z wojną. Był laureatem leninowskiej nagrody „Za utrwalenie pokoju między narodami". Trudno w zasadzie oprzeć się wrażeniu, że mało kto tak rzetelnie sobie na ową nagrodę

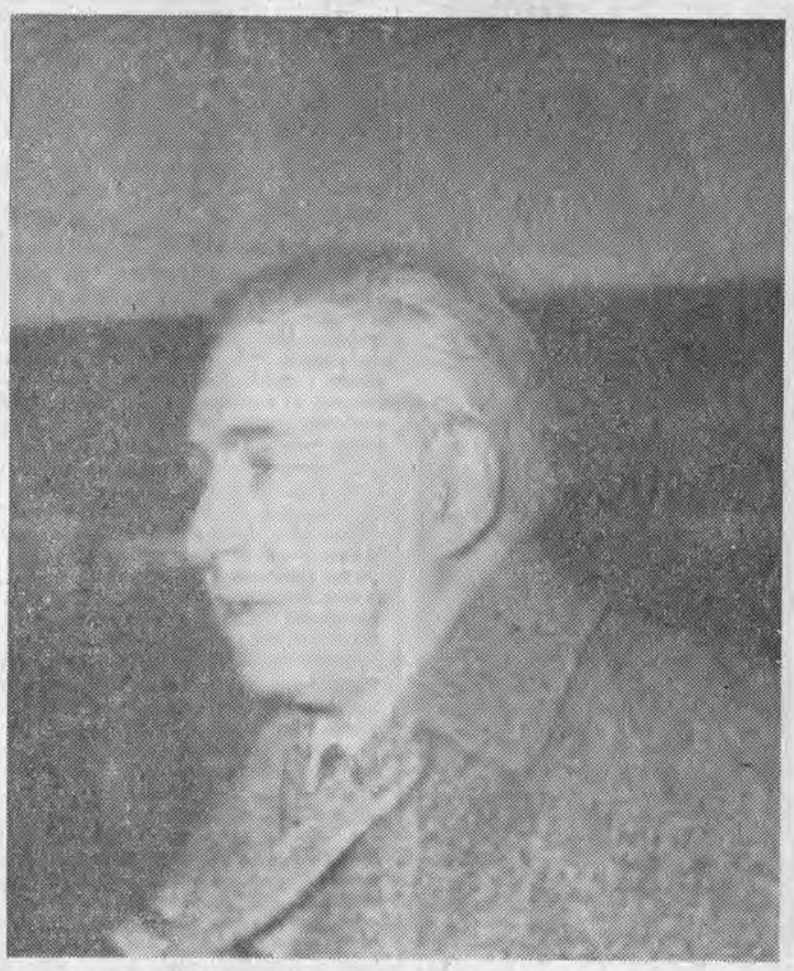

zasłużył jak on. Całym życiem.

Ostatnią znakomitą książką Ilji były sześciotomowe wspomnienia „Ludzie, lata, życie", w połowie dopiero przetłumaczone na język polski. Jest to pamiętnik zadziwiający. Erenburg znał wszystkich, był wszędzie, był prawdziwym rówieśnikiem dwudziestego stulecia i przez całe życie udawało mu się dotrzymywać kroku temu najzawilszemu może ze stuleci.

Najpopularniejszy obok Szołochowa ze współczesnych pisarzy rosyjskich, zdobył sobie Erenburg olbrzymi autorytet wśród współczesnej młodzieży radzieckiej. Pisarz śmiałej myśli i rozważnego spojrzenia, nie mógł narzekać na brak rozgłosu i sławy. W samej tylko Polsce książki jego wyszły w łącznym nakładzie niemal ośmiuset tysięcy egzemplarzy. A jednak, jak to często jest udziałem pisarzy, waga i piękno jego dzieła staje się dla wszystkich jeszcze bardziej oczywiste w tej właśnie chwili, kiedy autor odchodzi.

Miałem to szczęście, że znałem Erenburga. Poznałem go przed dziesięcioma laty. W podmoskiewskiej daczy, otoczony bezcennymi obrazami i rysunkami największych malarzy współczesnych, siedział — z fajką, oczywista — nad filiżanką kawy i mówił rzeczy tak mądre, że nie można było mieć wątpliwości, iż obcuje się z jednym z najwybitniejszych ludzi epoki. Na drewnianych ścianach wisiał Léger i Picasso — rozmawialiśmy o Francji i o Włoszech — a za oknem domku, był chłopski, rosyjski ogródek, otoczony drewnianym parkanem, była Rosja, prawdziwa, najprawdziwsza. Rosja, od której nigdy się nie oderwał, tak długo żyjąc i tak daleko od niej.

Tak, był to jeden z tych wielkich pisarzy, jacy zdarzają się w Rosji częściej, niż gdziekolwiek indziej. Był to jeden z tych, którzy umacniali w nas wiarę w potrzebę pisarstwa, w wielką społeczną rangę literatury — wbrew modom, snobizmom, kuglarstwu i bladze tak przecież ludziom nieodzownej, jeśli uczciwej.

Odszedł pisarz wielkiej uczciwości.

I można chyba tylko powtórzyć to, co sam Erenburg napisał w lipcu 1942 r., kiedy poległ na froncie Eugeniusz Pietrow, współautor niezrównanych „Dwunastu krzeseł" i „Złotego cielca": „Odszedł wielki pisarz i wspaniały człowiek. Umiał widzieć: miał nie tylko oczy artysty, miał także serce artysty. Potrafił zorientować się w gmatwaninie życia..."

WITOLD DĄBROWSKI

DLA MUZYKÓW I MELOMANÓW

Przy ulicy Słowackiego w Rzeszowie coraz wyraźniej kształtuje się ośrodek kulturalny. Do obiektów już istniejących doszła nowa placówka: księgarnia muzyczna. Wypełni ona znaczną lukę w zaopatrzeniu szkół muzycznych, ognisk i zespołów artystycznych w materiały teoretyczne, nutowane, partytury, pomoce naukowe i beletrystykę.

„Dom Książki" — właściciel księgarni zawarł umowy z Polskim Wydawnictwem Muzycznym i „Polskimi Nagraniami", które zapewniają bieżące zaopatrywanie w nowości i utrzymanie pełnego asortymentu wydawnictw i płyt.

Dobrze się też stało, że księgarnia, jako jedyna placówka specjalistyczna w naszym województwie podjęła się usług dla całego terenu. Wszystkie placówki muzyczne i kulturalno-oświatowe, będą na bieżąco informowane o nowościach wydawniczych z wszystkich dziedzin muzyki. Przy księgarni czynny jest również Ośrodek Bibliograficzny Wydawnictw Muzycznych.

Placówka zamierza prowadzić również bezpośrednią w pewnym sensie pracę popularyzatorską dobrej muzyki. Będzie więc m. in. współdziałać z Klubem Muzyki Mechanicznej WDK, udostępniając najnowsze nagrania płytowe.

Celem jak najlepszego służenia melomanom, placówkom artystycznym i szkolnictwu muzycznemu, przewiduje się powołanie przy księgarni społecznej rady.

Dziś z dużą przyjemnością zagląda się do nowej księgarni. Wnętrze projektu inż. Czesława Białego jest funkcjonalne i estetyczne. Mnóstwo światła, dobrze eksponowane płyty i książki. Wkrótce 3 stoiska cichych przesłuchań płyt ułatwią melomanom wybór nowości i zakupy. Do dyspozycji muzyków jest pianino. Ułatwione więc zapoznanie się z nutami i całymi partyturami. Instrumentalne zespoły rozrywkowe i wokalne, nareszcie mają też w czym wybierać. Repertuar niemały!

Zespołowi księgarni z kierownikiem St. Ptaszkiem należy życzyć dobrej współpracy z melomanami, młodzieżą muzyczną, popularyzatorami i artystami.

M. G.

Jerzy Waławski

LEKCJA MĄDREJ PRZYGODY

„Wychowanie obywatelskie spełnia doniosłą rolę w przygotowaniu uczniów do życia społeczno-politycznego, jako przyszłych obywateli świadomych swych obowiązków i praw...

Z programu nauczania ośmioklasowej szkoły podstawowej.

• • •

Wychowanie obywatelskie zostało wprowadzone do programu szkoły podstawowej przed dwoma laty. W roku szkolnym 1965/66 przedmiot wszedł do klasy siódmej, w rok później do ósmej. Wymiar godzin jest nader skromny — jedna lekcja tygodniowo dla siedmioklasistów, dwie dla klasy ósmej. Co gorsza, brak podręcznika dla klasy siódmej, a ponad to ani licea pedagogiczne, ani studia nauczycielskie nie przygotowują wykładowców tej specjalności. Nauczyciele muszą się opierać na wskazówkach programu i własnej inwencji, a materiał do przekazania jest obszerny, wieloproblemowy. Są zagadnienia z dziedziny nauk społecznych, politycznych, ekonomii, prawa, kultury... Na dobrą sprawę wychowanie obywatelskie winni wykładać specjaliści z różnych dziedzin, a przy tym znakomici dydaktycy i pedagodzy jednocześnie. Wydaje mi się, że doskonale zdaliby tutaj egzamin wykładowcy z przygotowaniem socjologicznym — niestety, w szkołach podstawowych nie ma socjologów. Niestety, szkoły borykają się z trudnościami personalnymi — brakuje nauczycieli.

W województwie rzeszowskim ponad 62 procent nauczycieli ma dodatkowe kwalifikacje, ale nie jest to sytuacja zadowalająca w pełni, gdyż mimo to około 60 szkół pozostanie bez jednego bodaj nauczyciela w pełni kwalifikowanego. Trzeba będzie zatrudnić poza tym jeszcze około 150 nauczycieli tylko po liceach pedagogicznych. Najgorzej jest w powiatach rolniczych, mało uprzemysłowionych: lubaczowskim, jarosławskim, przemyskim i kolbuszowskim. W tej sytuacji socjolog wykładowca wychowania obywatelskiego może być tylko marzeniem władz oświatowych i kierowników szkół. Trzeba szukać innych dróg wyjścia, bardziej realnych.

W roku ubiegłym organizowano dla nauczycieli wychowania obywatelskiego kursy centralne. Podobne kursy organizował Okręgowy Ośrodek Metodyczny w Rzeszowie wespół z Wojewódzkim Ośrodkiem Propagandy Partyjnej. Jednocześnie tę samą akcję zainicjowano w poszczególnych powiatach. Typowano nauczycieli wychowania obywatelskiego spośród pedagogów najbardziej aktywnych, najlepiej wyrobionych politycznie, z dużą pasją społeczną. Kursy były dużą pomocą, niemniej wykładowcy napotkali sporo trudności i to z różnych przyczyn.

Skromny wymiar godzin — wstępny dział w klasie siódmej: „Współżycie i praca mieszkańców miasta (wsi)" jeden z ważniejszych, bardziej istotnych trzeba zamknąć w orientacyjnej liczbie 12 godzin lekcyjnych. Jednak w dziale tym jest rozdział o zakładzie pracy i program podpowiada, że trzeba w nim poruszyć następujące zagadnienia: „Zakłady pracy w naszej miejscowości i okolicy. Zakład pracy własnością społeczną i wspólnym dobrem całej załogi. Podział pracy i odpowiedzialność poszczególnych członków załogi (robotnicy, technicy, inżynierowie, administracja, kierownictwo). Współdziałanie całej załogi w wykonaniu zadań produkcyjnych. Robotnicy bezpośrednimi wytwórcami wartości. Rola organizacji partyjnej, samorządu robotniczego i organizacji związkowej w zakładzie pracy. Troska o warsztat pracy, o pełne wykorzystanie narzędzi i maszyn, o oszczędzanie materiałów, o zwiększenie wydajności pracy. Ruch racjonalizatorski. Socjalistyczna dyscyplina pracy. Udział zakładu w realizacji planów gospodarczych powiatu, województwa, państwa. Rozwój zakładów pracy. Współżycie członków załogi: gotowość niesienia pomocy, służenie radą i doświadczeniem, kultura pracy. Współudział załogi w zapewnieniu bezpieczeństwa i higieny pracy w zakładzie. Warunki zatrudnienia młodocianych, Rola ZMS w zakładzie pracy".

Każde z przedstawionych zagadnień wymagałoby rozwinięcia na co najmniej jednej lekcji, tym sposobem skromny limit godzin zostałby wyczerpany całkowicie, a program przerobiony w jednej trzeciej. Można oczywiście założyć, że w miejskiej szkole nie będzie się mówić o gospodarstwie rolnym, a w wiejskiej o zakładzie pracy typu nierolniczego. Choć moim zdaniem byłby to poważny błąd, gdyż dziecko mieszkające na wsi powinno się orientować jak pracuje huta, kopalnia, czy jakaś fabryka — podobnie jak dziecko miejskie winno mieć pojęcie o pracy rolnika w PGR, spółdzielni produkcyjnej, czy gospodarstwie indywidualnym. Tylko to bowiem można cenić i docenić, co się zna — niewiedza sprzyja osądom fałszywym.

Więc dylemat dla wykładowcy — z czego zrezygnować, co pominąć, o czym mówić obszerniej, jaki problem tylko podkreślić jednym lub dwoma zdaniami?

Dzieci w siódmej i ósmej klasie posiadają już pewną sumę wiadomości na temat otaczającej ich rzeczywistości. Więc pierwszą sprawą będzie zorientowanie się w tych wiadomościach, co da podstawę do selekcji materiału. Nauczyciel musi pamiętać o tym, że rola przedmiotu wychowanie obywatelskie polega

(Ciąg dalszy na str. 2)

„Na wystawie" — *Fot. J. LIGĘZA*

Socjologowie zakładowi

PIERWSZE DOŚWIADCZENIA

Parę lat temu niektóre większe przedsiębiorstwa przemysłowe zaczęły powoływać do życia nowe stanowisko w strukturze zakładu, stanowisko socjologa zakładowego. Mało było w tej akcji przepisów i okólników, a znacznie więcej entuzjazmu i nadziei, że socjolog potrafi wprowadzić ład w zawiłe stosunki międzyludzkie zakładu produkcyjnego. Entuzjazm i nadzieje nie mieszczą się w codziennej pracy przedsiębiorstwa bez odpowiednich pociągnięć organizacyjnych, ale z większym czy mniejszym trudem, miejsce dla socjologów się znalazło.

Trzeba przyznać, że nie tylko przemysł, ale i sami socjologowie wiele oczekiwali po tej nowej formie współpracy. Obopólny entuzjazm trochę obecnie opadł, ale nie okazało się, na szczęście, że praktyczna wersja socjologii nie ma nic do powiedzenia i że prowadzone badania są dla kierownictwa zakładu bezwartościowe. Badań zrobiono sporo i chyba większość z nich była w swoim czasie jakąś rewelacją na tle zwyczaju określenia opinii i potrzeb pracowników „na oko".

Z drugiej strony sytuacja socjologów zakładowych jest nieco sytuacją dziecka „z nieprawego łoża". Pochodzenie stanowiska nie jest zbyt jasne, a za to obciążone wspomnieniami dawnego entuzjazmu, przyszłość nie bardzo wyraźna, a uprawnienia wyraźnie zależne od chwilowych oczekiwań ludzi kierujących przedsiębiorstwem. Nowy ten twór rozrósł się tymczasem do ponad stuosobowej grupy socjologów zakładowych i istnieją perspektywy jego dalszego rozwoju. Nikt nie jest skłonny rezygnować z możliwości uzyskiwania informacji socjologicznej o przedsiębiorstwie, nawet, jeżeli nie jest zbyt pewny jej praktycznej przydatności. Czynnik ludzki robi czasem takie niespodzianki, że nawet bez entuzjazmu do socjologicznych rewelacji coraz więcej przedsiębiorstw myśli o wprowadzeniu służby socjologicznej. Istnieje ponoć nawet zapotrzebowanie na socjologów zakładowych „z wyższym wykształceniem lub z wykształceniem średnim i praktyką", co brzmi mniej więcej tak, jak zapotrzebowanie na dentystę zakładowego z wyższym wykształceniem lub bez wykształcenia, ale z praktyką.

Zdumiewająca jest rozpiętość zadań i rozmaitość rozwiązań organizacyjnych warunkujących działalność socjologa zakładowego. Socjolog zakładowy rozwiązuje raz zagadnienia, na których się zna lub powinien się znać, innym razem prowadzi badania raczej naukowe niż służące bieżącym potrzebom przedsiębiorstwa, a jeszcze dodatkowo opiniuje sprawy, na których się znać nie może. Bardzo często chyba socjolog zakładowy występuje w charakterze „pierwszego naiwnego", stawia pytania inżynierom odpowiedzialnym za organizację pracy tak proste i podstawowe, że brzmi to odkrywczo, jak zwykły głos rozsądku.

Sami socjologowie z różnych ośrodków naukowych interesują się tym nowym i nieznanym na świecie wcieleniem socjologa-praktyka. Czy to jest tylko moda na badania socjologiczne, czy istotna potrzeba przedsiębiorstwa socjalistycznego? Czy przejawi się tendencja do włączania socjologów do dużych zespołów prowadzących politykę personalną przedsiębiorstwa, czy też przeważy funkcja badawcza na szczeblu większych jednostek organizacyjnych? Jakie realne korzyści odnoszą przedsiębiorstwa ze stworzenia odrębnego stanowiska socjologa zakładowego?

W pewnych przypadkach powołanie stanowiska socjologa zakładowego zostało uwieńczone sukcesem i obopólnym zadowoleniem. Socjologowie prowadzą badania nad opiniami załóg o przedsiębiorstwie, dostarczają informacji o przyczynach konfliktów i rezygnacji z pracy, proponują przemyślane pociągnięcia organizacyjne i szkoleniowe, ułatwiające lepszą adaptację nowo przyjmowanych do pracy i lepsze zrozumienie między kierownictwem i załogą. Stanowią więc ten element w przedsiębiorstwie, na którym choć częściowo oprzeć się może realna praca nad wprowadzaniem w życie zasad humanizacji pracy i poprawy stosunków międzyludzkich.

Z bardziej znanych przykładów takiej współpracy można wymienić Stocznię Gdańską im. Lenina, posiadającą od lat poważny zespół socjologiczno-psychologiczny, czy „Elwro" we Wrocławiu. Nie wszędzie jednak eksperyment socjologa zakładowego kończy się sukcesem. Jest to chyba grupa zawodowa najbardziej niestabilna ze wszystkich grup specjalistów w przemyśle. Nie wykształcił się jeszcze ani zawód socjologa-praktyka, ani uznany zakres zadań i kompetencji.

Szkoda byłoby zmarnować szansy wprowadzenia spojrzenia humanisty na codzienne funkcjonowanie społeczności zakładowych, ale można mieć wątpliwości, czy przemysł sam wie, czego oczekuje po tej nowej kategorii pracowników. Tymczasem robione są badania niewątpliwie potrzebne przedsiębiorstwom. Ale jakie są dalsze perspektywy tych ludzi, jak będzie wyglądała ich funkcja za parę lat? Wiadomo, jakie mniej więcej ma perspektywy inżynier czy ekonomista w przemyśle. Ale socjolog? Tymczasem pomocy z punktu widzenia jego dorobku i merytorycznej poprawności prowadzonych prac podejmują się w „czynie społecznym" instytucje naukowe, nie zawsze zainteresowane praktyczną przydatnością badań. A jak zabezpieczyć współpracę socjologów-praktyków z psychologami? Wydaje się czasem, że mają rację optymiści, twierdzący, że wśród powodzi instytutów przydałby się jeden mogący ogarnąć swoją problematyką różne aspekty badań nad czynnikiem ludzkim w produkcji. Zwłaszcza w zakresie tych zagadnień praktycznych, do których nie sięga „wielka nauka".

JAN HOSER

60 lecie „Zarania Śląskiego"

Jubileusz 60-lecia obchodzi kwartalnik literacki „Zarania Śląskie", wydawany przez Śląski Instytut Naukowy w Katowicach. Pismo, założone w 1907 r. pierwotnie jako kwartalnik regionalny dla Śląska Cieszyńskiego, spełniało i spełnia doniosłą rolę w życiu kulturalnym woj. katowickiego. Zgromadzone w dotychczasowych rocznikach materiały stanowią jedno z najobfitszych źródeł wiedzy o tym regionie kraju i jego sprawach nie tylko literackich, lecz także społecznych, historycznych, ekonomicznych i socjologicznych.

Bogaty w treść jubileuszowy numer „Zarania Śląskiego" zawiera m. in. materiały poświęcone problematyce powstań śląskich, ruchu robotniczego na Górnym Śląsku w okresie międzywojennym oraz interesujący artykuł o woj. katowickim w Polsce Ludowej.

LEKCJA MĄDREJ PRZYGODY

(Ciąg dalszy ze str. 1)

przede wszystkim nie na tym, ażeby dać uczniom maksimum mechanicznie przyswojonych informacji, ale takim podaniu pewnej dozy najkonieczniejszej wiedzy, ażeby służyła ona właśnie kształtowaniu świadomej, obywatelskiej postawy, wychowaniu w duchu socjalistycznym. Wicekurator OS w Rzeszowie mgr Stanisław Grabowski podkreśla, że niewolnicze trzymanie się podręcznika, czy poszczególnych punktów programu, wymaganie od młodzieży, ażeby uczyła się materiału na pamięć przekreśli cel ideowy wychowania obywatelskiego. Podstawą jest wiązanie wiadomości zawartych w podręczniku i wskazań programowych z konkretnym środowiskiem, z konkretną rzeczywistością.

Tymczasem w ubiegłych latach szkolnych zdarzało się, że nauczyciele wymagali od ucznia wiadomości pamięciowych, wychodząc nawet poza ramy podręcznika i programu. Zdarzyło się, że wykładowca przykazał dzieciom wykuć na pamięć nazwiska wszystkich ministrów, dalej komisje ONZ, agencje i komitety tej organizacji. Z całą pewnością uczeń siódmej, czy ósmej klasy powinien znać nazwisko ministra oświaty, nie zaszkodzi jeżeli będzie znał jeszcze kilka nazwisk ministrów, trzeba wymagać nazwisk czołowych przywódców politycznych naszego kraju, można sobie jednak darować pełną listę nazwisk ministrów. Wykładowca powinien również zdawać sobie sprawę, że do tego, ażeby być dobrym obywatelem nie koniecznie trzeba wiedzieć, że ONZ ma komisję d/s Narkotyków i, że Światowa Organizacja Zdrowia nosi skrót WHO. I odwrotnie — trudno nazwać dobrym obywatelem tego, kto nie wie, że należy chronić mienie społeczne, choćby potrafił wyliczyć wszystkich ministrów i wiceministrów po kolei.

Umiejętność selekcjonowania materiału jest więc sprawą niebagatelną, a drugą nader ważną kwestią jest sposób podania materiału. Nie suchy wykład, nie mechaniczne podanie wiadomości... formy przekazania informacji powinny być możliwie najbardziej różnorodne. Wykład tylko w tym przypadku, jeżeli nie ma innych możliwości, ale przede wszystkim forma dyskusyjna, wpojenia nawyku do samodzielnego korzystania ze źródeł, wreszcie audycja telewizyjna, artykuł w prasie, pogadanka radiowa. Przy tym formy bardziej aktywne — samodzielne przygotowywanie niewielkich referatów przez uczni, gazetek ściennych, tematycznych zbiorów wycinków z prasy.

Cenną pomocą mogą być wywiady samodzielnie przeprowadzane przez uczniów z działaczami politycznymi i społecznymi, z ludźmi kultury i techniki, przedstawicielami różnych zawodów i specjalności. Wreszcie wycieczki do zakładów pracy i spotkania w szkole.

Kwestia wycieczek i spotkań. Opowiadał mi jeden z kierowników szkół, że zwrócił się kiedyś do zakładu pracy z prośbą o wydelegowanie przedstawiciela kierownictwa zakładu, który poinformowałby młodzież kilku klas o pracy fabryki, roli organizacji partyjnej, samorządu robotniczego... Chodziło o przystępną, czterdziestopięciominutową pogawędkę. Przysłał, owszem... przyszedł technik, nie grzeszący nadmiarem wiadomości, a przy tym wszystkim nie umiejący mówić do młodzieży. Cenna godzina została stracona, młodzież wynudziła się porządnie — nie odniosła żadnej korzyści. Niedostateczny stopień z wychowania obywatelskiego powinien otrzymać zakład pracy, który zlekceważył sobie młodzież. Kierownictwo zakładu poszło po najmniejszej linii oporu, delegowało pracownika, który w danym dniu miał najmniej roboty, a nie takiego, który mógł coś przekazać młodzieży.

Podobnie bywa z wycieczkami szkolnymi w zakładach pracy. Nie otrzymują one najlepszych przewodników, a przecież nauczyciel nie może być „alfą i omegą" każdej specjalności. Jeżeli padnie pytanie z zakresu techniki, to przewodnik powinien odpowiedzieć, nie nauczyciel.

Dużym powodzeniem cieszą się spotkania z MO u młodzieży. I trzeba tutaj stwierdzić, że MO traktuje w przeciwieństwie do niektórych zakładów pracy poważnie te spotkania, deleguje ludzi, którzy umieją mówić do młodzieży interesująco, przystępnie i szczerze.

Nie tylko tego typu kłopoty mają nauczyciele wychowania obywatelskiego. Zdarza się, że teoretyczne informacje nie pokrywają się z rzeczywistością w danym terenie. Kłopotliwe pytania i sytuacje zdarzają się przede wszystkim w szkołach wiejskich. Oto mówi nauczyciel o „radzie narodowej, jako organizatorze życia gospodarczego i kulturalnego na swoim terenie" — jednocześnie jest publiczną tajemnicą, że przewodniczący miejscowej GRN sprzeciwia się otwarciu klubu we wsi, koso patrzy na bibliotekę — słowem nie tylko nie zamierza organizować życia kulturalnego, ale jest nieprzychylnie ustosunkowany do kultury. Padną pytania: „dlaczego nie ma u nas świetlicy"?, „dlaczego biblioteka w zimie nie dostała węgla, kiedy rada powinna dbać o to"? Nie wolno pominąć milczeniem tych pytań, musi się udzielić odpowiedzi z dużym taktem, wyjaśnić lokalną sytuację, a nawet poddać ją krytyce. Zlekceważenie głosów młodzieży podważy zaufanie do nauczyciela, a przy tym nie zbuduje autorytetu nie najlepiej pracującej miejscowej radzie narodowej.

Choć z drugiej strony znając stosunki, w niektórych miejscowościach należy się liczyć z pominięciem pytania, z pozostawieniem go bez odpowiedzi.

Przedmiot wychowanie obywatelskie jest w szkołach podstawowych niezależnie od godzin do dyspozycji wychowawcy klasy, na których wychowawca (klasy 5—8 jedna godzina tygodniowo) omawia problemy klasowe, postępów w nauce, samorządu uczniowskiego itp. Wydaje mi się, że godziny wychowawcze mogą być rodzajem wstępu do przedmiotu wychowanie obywatelskie. Minister Jabłoński postuluje, ażeby wychowawcy poszczególnych klas, nauczyciele w pełni kwalifikowani prowadzili klasy od 1 do 8 — sądzę, że idealnym rozwiązaniem byłoby, gdyby ci sami pedagodzy wykładali w swoich klasach wychowanie obywatelskie. Można wtedy mówić o działaniu wielokierunkowym pełnym przy tym wszystkim powinny współdziałać organizacje szkolne, rozwijające potrzebę społecznego działania. Obowiązek wychowawczej działalności mają zresztą również wykładowcy innych przedmiotów, szczególnie humanistycznych. Sam przedmiot wychowanie obywatelskie ma porządkować zebrane wiadomości, uczyć korzystania z nich, wzbogacać je o nowe nieznane wartości. I przede wszystkim wyznaczać uczniom ich miejsce wśród ludzi, w socjalistycznym społeczeństwie, przygotowywać do dojrzałości, do mądrej przygody, którą jest świadoma i dająca osobistą satysfakcję działalność społeczna i praca.

Mieczysław Wieliczko

NARÓD

Podczas wakacyjnej wędrówki poszukiwałem śladów Polaków, jako że „naród od urodzenia rad pętuje..." (wędruje), jak pisał we fraszce Wacław Potocki jeszcze w XVII wieku, no a dzisiaj te niemal historyczne naleciałości stały się powszechne. Oto kilka odszukanych „poloniców" na terenie Łużyc, Saksonii i Turyngii — południowych prowincji NRD.

✶

W Bautzen — Budziszynie, stolicy okręgu narodowościowego Serbów Łużyckich, zwracają uwagę dwujęzyczne szyldy w witrynach sklepów i w nazwach ulic. Język serbski przetrwał przez stulecia, od czasów wczesnego średniowiecza — język fonetycznie bardzo bliski mowie polskiej z naleciałościami mazurzenia, a w alfabecie i pisowni podobny do języka słowackiego.

W miejscowym muzeum regionalnym polskie książki z XVII wieku. Na cmentarzu obok kolegiaty za Bramą Wagi, na nagrobnych kamieniach liczne nazwiska o polskim brzmieniu. Mimo woli nasuwa się uwaga, jak bliskie musiały być związki tego regionu ze Śląskiem, jak silne wzajemne wpływy i powiązania. Na ulicach spotyka się kobiety w strojach regionalnych, bardzo podobnych do noszonych w okolicy Gogolina na Opolszczyźnie.

Nazwa jednej z ulic upamiętnia walki 2 Armii Wojska Polskiego (21—27 IV 1945) w okolicy miasta.

✶

Drezno — stolica Saksonii, miasto trochę symbol, trochę ostrzeżenie... Zgromadzono tu wspaniałe dzieła twórczej pracy człowieka — słynny Zwinger, mieszczący zbiory Galerii Drezdeńskiej i zachowano do dziś świadectwa okropności wojny — ślady potwornych zniszczeń na skutek dywanowych bombardowań alianckich. W murach Uniwersytetu Technicznego są cele śmierci i utrwalone granitową płytą miejsce, gdzie stał pień, na którym stracono toporem 98 Polaków a ogółem ok. 1900 bojowników o wolność 14 narodów. Obok pomnik-rzeźba grupy więźniów — fundowany ze składek studentów tej uczelni. W tym miejscu nadano hitlerowskiej zbrodni kształt i pozory prawa, urzędował tu sąd okręgowy, ferujący w kilkuminutowych rozprawach tylko wyroki śmierci. Ślady tych zbrodni zachowano i utrwalono.

Drezno — miasto, którego związki z historią Polski to nie tylko 66 lat panowania Augusta II i Augusta III — elektorów saskich na tronie polskim, ale jeszcze pierwsza polska emigracja polityczna, zalążek Powstania Kościuszkowskiego. Potem rządy Fryderyka Augusta, elektora w dobie Księstwa Warszawskiego i znowu lata Wielkiej Emigracji, czas „Dziadów" drezdeńskich Mickiewicza...

Przy Nordstrasse 28, na prawym brzegu Łaby, jest skromny dom willowy, jeden z najcenniejszych zabytków dla polskiej kultury na obczyźnie. Przez 20 lat mieszkał tu i tworzył Józef Ignacy Kraszewski. Większość całej spuścizny literackiej powstała właśnie w tym domu w latach 1863—1883. Cykle powieściowe „obrazki" i „szkice", rozliczna publicystyka („Rachunki" wydawane w latach 1966—69 korespondencyjne redagowanie „Hasła" wydawanego we Lwowie, wreszcie gazeta „Tydzień" wychodząca w Dreźnie w latach 1870—71), cała trylogia saska oraz żywe uczestnictwo w politycznym życiu emigracji, charakteryzują te lata w biografii Kraszewskiego. Tu w Dreźnie dosięgła go ręka pruskiego kanclerza Bismarcka za... zdradę stanu po wspaniałym jubileuszu 50-lecia pracy pisarskiej, gdy w Krakowie odbierał hołd od społeczeństwa ze wszystkich zaborów. Kraszewski był sądzony w Lipsku, a więziony w Magdeburgu — prześladowany za swą twórczość literacką, tchnącą patriotyzmem. Zawarł w kilku powieściach („Hrabina Cosel", „Z siedmioletniej wojny", „Saskie ostatki") wiele elementów krajobrazu Saksonii, której był... obywate-

Muzeum sztuki

Muzeum Sztuki w Łodzi gości obecnie artystów włoskich: Alberto Biasi, Ennio Chiggio, Edwardo Landi i Manfredo Masironi, członków grupy „N", która 2 IX 1967 r. zaprezentowała w salach Muzeum swoje dzieła. Grupa „N" zajmuje się sztuką programową wykorzystując osiągnięcia fizyki. Jest to skrajny odłam malarstwa — na pograniczu nauki i sztuki. Określeniem dla poszukiwań tych artystów jest „nowy wizualizm". Grupa „N" jest laureatem wielu nagród na wystawach światowych. W Polsce występuje po raz pierwszy — właśnie w Muzeum Sztuki w Łodzi.

Na zdjęciu: Alberto Biasi przy jednej ze swych prac.

CAF — Rozmysłowicz

Jan Grygiel

WYKORZYSTAĆ SZANSĘ

Niech mi czytelnicy wybaczą, że rozpocznę artykuł od truizmu. Jest bowiem prawdą oczywistą, że gazety zakładowe stanowią podstawową lekturę prasową kilkutysięcznej załogi wielkich zakładów przemysłowych. Są czasem jedynym źródłem informacji o własnym warsztacie pracy i o środowisku, w którym zakład pracuje. Przynoszą wiedzę o organizacji pracy w fabryce, o problemach produkcyjnych, o zagadnieniach technicznych czy socjalnych, krytykują niedociągnięcia i bolączki zarówno w zakładzie, jak i w osiedlach mieszkaniowych zamieszkałych przez pracowników.

Gazety zakładowe popularyzują współzawodnictwo pracy, ukazują sylwetki przodujących pracowników, prowadzą z lepszym lub gorszym skutkiem pracę polityczną wśród załogi. W naszym województwie ukazuje się 5 gazet zakładowych — w Tarnobrzegu „Siarka", w Stalowej Woli — „Socjalistyczne Tempo", w Mielcu — „Głos Załogi", w Dębicy — „Echo Załogi", i w Rzeszowie „Wiadomości Fabryczne" — o łącznym nakładzie około 25 tysięcy egzemplarzy. Stanowią więc siłę, której lekceważyć nie wolno — instrument oddziaływania na świadomość klasy robotniczej o pierwszorzędnym znaczeniu. Wprawdzie zdecydowana większość robotników czyta również inne dzienniki i tygodniki, lecz zawsze największym zainteresowaniem cieszą się wiadomości i problemy poruszane we własnej gazecie, z własnego podwórka.

Czy w różnorodnej, na ogół bogatej problematyce „zakładówek" występuje również problematyka kulturalna? Czy gazety zakładowe korzystają z okazji, by propagować teatr, film, dobrą książkę, by pokazywać zainteresowania i pasje kulturalne pracowników zakładu, czy wreszcie współdziałają z zakładowymi domami kultury w pracy nad wprowadzeniem do uczestniczenia we współczesnej kulturze chłoporobotników? Takie pytania zadawałem sobie przeglądając komplet numerów z okresu jednego roku „Socjalistycznego Tempa" ze Stalowej Woli. Postanowiłem w oparciu o lekturę tej jednej gazety zakładowej zastanowić się nad szumnie mówiąc „kulturotwórczą rolą" zakładówek.

W osiemnastu numerach „Socjalistycznego Tempa" znalazłem następujące materiały z zakresu problematyki kulturalnej: 6 informacji poświęconych imprezom kulturalnym, 9 sylwetek pracowników i działaczy kultury ze stalowowolskiego ZDK, 12 odcinków wspomnień o przeszłości huty i miasta Stalowa Wola, 4 krótkie informacyjki o nowych książkach w zakładowej bibliotece, 4 felietony obyczajowe i 2 omówienia spektakli teatru amatorskiego ze Stalowej Woli. Literaturę reprezentuje 5 krótkich opowiadań i jeden wiersz.

Trzeba stwierdzić, że wszystkie zamieszczone informacje i artykuliki były potrzebne w gazecie i na pewno spełniły swoją rolę wśród załogi. Ale wydaje mi się, że tych materiałów było stanowczo za mało. Sądzę, że w każdym numerze winny znaleźć się przystępne omówienia nowości wydawniczych zarówno z zakresu literatury technicznej, jak i beletrystyki. Nie wolno rezygnować z tej formy popularyzacji książki wśród załogi. Także każdy spektakl teatralny na scenie ZDK powinien być odpowiednio zapropagowany w gazecie. To dobrze, że „Socjalistyczne Tempo" daje sylwetki ludzi ZDK, ale źle, że bogata działalność Domu Kultury nie znajduje prawie żadnego odzwierciedlenia na łamach gazety. To poważne niedopatrzenie. Brak informacji o odczytach, spotkaniach, o pracy poszczególnych działów ZDK, o interesujących ludziach goszczących w tej placówce, o imprezach teatralnych czy estradowych zespołów zawodowych odwiedzających Stalową Wolę. Nie wyobrażam sobie pełnego sukcesu w działalności zarówno gazety, jak i ZDK bez ścisłego współdziałania.

Czy życie kulturalne Stalowej Woli było tak ubogie w ciągu ostatniego roku, iż 5 informacji zamieszczonych w gazecie w pełni je odzwierciedla?

Czy nie warto by czasem napisać o ciekawszym filmie, który ma wejść na ekrany kin w Stalowej Woli? Czy nie warto publikować recenzji lub omówień wartościowych książek — które zakupiła biblioteka zakładowa — i czynić to systematycznie, w każdym numerze?

To dobrze, że gazeta czasem drukuje opowiadania, ale może warto by publikować je z jakąś koncepcją, z jakimś planem... Obecnie bowiem ukazują się na łamach „Socjalistycznego Tempa" wyłącznie opowiadania jednego autora i wyłącznie poświęcone sprawom miejscowym.

W ogóle z lektury tej gazety wynika, iż jej zespół redakcyjny nie ma własnej „polityki kulturalnej", jeśli można użyć takiego nieco patetycznego określenia. Oczywiście nie można żądać, by gazeta zakładowa była gazetą poświęconą kulturze — nie można oczekiwać, by na jej łamach pojawiła się publicystyka kulturalna, nie można wymagać, by publikowano tam wnikliwe recenzje teatralne, literackie czy filmowe. Wiadomo, iż nie zawsze stać na to zespół dziennika czy gazety złożony z zawodowych dziennikarzy. Ale ten niedowład najprostszej informacji kulturalnej, form popularyzacji książki, sztuki, filmu i teatru niepokoi. O takie formy popularyzacji spraw kultury dopominają się sami czytelnicy „Socjalistycznego Tempa". W jubileuszowym numerze gazety (z okazji 15-lecia) ukazały się wypowiedzi czytelników na temat roli i profilu pisma. Józef Bliziński, przedstawiciel Rady Zakładowej pisze: „Jako działacz kultury uważam jednak, że „ST" zbyt mało miejsca poświęca sprawom ZDK. Za mało jest informacji o imprezach w Domu Kultury, o jego problemach i osiągnięciach. Nie chodzi tu o pochwałę pod adresem ZDK, ale o **systematyczną informację**, gdyż dotychczas działalność ta jest niejako konspiracyjna.... Nie od rzeczy byłyby opinie i wywiady z kierownikami wydziałów o życiu kulturalnym ich załóg. Nie są to rzecz jasna sprawy najważniejsze dla „ST", ale sądzę, że dotychczas traktowane przez gazetę zbyt marginesowo"... Inny czytelnik powiada, iż „z przyjemnością poczytałby w „ST" ciekawe materiały polityczne czy też kulturalno-oświatowe". Trudno nie poprzeć tych żądań czytelników.

Wybrałem jako przedmiot swych rozważań jedną gazetę zakładową. Nie chcę twierdzić, że w innych na terenie naszego województwa sytuacja jest identyczna. Na przykład „Wiadomości Fabryczne" znacznie więcej poświęcają miejsca sprawom kulturalnym. Ale nie wydaje mi się jednak, by któraś z nich miała opracowany wyraźny program oddziaływania kulturalnego i usiłowała go realizować. A szkoda. Takiej szansy zaprzepaszczać nie wolno. Któż jak nie gazeta zakładowa winien z pełnym zaangażowaniem walczyć o poziom kulturalny, a co za tym idzie o wysoką świadomość ideową załóg robotniczych w socjalistycznych zakładach pracy. Któż zachęci robotnika do przeczytania książki, oglądnięcia wartościowego spektaklu teatralnego czy filmu, zwerbuje go do uczestniczenia w życiu kulturalnym ZDK czy placówek miejskich. Sprawy produkcji są na pewno dla gazet zakładowych sprawami pierwszoplanowymi. Ale nie trzeba zapominać, iż pomoc dla robotników w kulturalnym spędzaniu wolnego czasu i ogólny poziom kulturalny załogi ma również bardzo duże znaczenie dla wyników i poziomu produkcji.

Dlatego apel do wszystkich gazet zakładowych — zielone światło dla spraw kultury. Więcej informacji, więcej literatury pięknej, więcej wysiłków w kształtowaniu smaku artystycznego i gustów robotników, więcej pomocy w wyborze treści ideowych i kulturalnych ze świata sztuki.

OD URODZENIA RAD WĘDRUJE!

lem od 1863 roku, kiedy wyrzucony z rodzinnej Warszawy przez Wielopolskiego, tuż przed wybuchem Powstania Styczniowego, osiedlił się na stałe w Dreźnie.

Nieopodal Zwinger — wspaniała barokowa budowla Poeppelmanna, cieszy się światową sławą dzięki galerii obrazów gromadzonych głównie przez Augusta II. Złocone ramy wszystkich obrazów w zbiorze dawnych mistrzów nawiązują do fundatora: u dołu na tarczy inicjały A R (Augustus Rex), a w górnej części piękny relief herbowy — ułożone naprzemianlegle Orzeł polski i Pogoń litewska, pośrodku na małej tarczy dwa skrzyżowane miecze, znak rodowy Sasów. Wspomniane ramy utrzymują płótna tej miary mistrzów co Pinturicchio, Messina, Giorgione, Tycjan, Rafael z Urbino (słynna Madonna Sykstyńska, arcydzieło włoskiego Odrodzenia, jedyne po północnej stronie Alp), wreszcie Coreggio, Veronese, Albrecht Duerer, Jan van Eyck, Rubens, van Dyck, Rembrandt i Velasquez. Nic tu już dodać w blasku tych nazwisk, może tylko tyle, że towarzyszą im polskie znaki herbowe...

W drugim skrzydle Zwingeru mieści się zbrojownia królewska, gdzie polskie rzędy na konie, husarskie zbroje i lśniące koncerze, przypominają fragmenty dziejów oręża polskiego, skupiają uwagę zwiedzających i budzą ich podziw swym artystycznym wykonaniem.

Nieco na uboczu i trochę w cieniu Zwingeru jest Albertinum — skarbiec królewski. Okazały zbiór monet, a wśród nich w poszukiwaniu „poloniców" wyróżnić trzeba piękne złote talary Zygmunta Augusta i Stefana Batorego, talary gdańskie z jagiellońskim orłem i drobne blaszki — monety z godłami piastowskich książąt śląskich.

Tramwajem „18" dojeżdża się do zamku w Pillnitz. Okazała budowla fundowana przez Augusta II i ofiarowana hrabinie Cosel, mieści dziś Państwowe Zbiory Sztuki — głównie galerię nowożytnego malarstwa niemieckiego i grafiki współczesnej.

*

Z Drezna łatwo można dojechać do centrum Saskiej Szwajcarii, gdzie obok wspaniałego przełomu Łaby i okazałych form skalnych, w rejonie Bastei, uwagę turystów przyciąga twierdza w Koenigstein.

Wzniesiona 360 m n.p.m. samotnia skalna, tuż nad korytem Łaby, była fortyfikowana poczynając od poł. XIII w. Każde stulecie znaczyło się tu mozolną pracą nad zbudowaniem nowych urządzeń obronnych, lochów i kazamat. Dokończył budowę Poeppelmann na zlecenie Augusta II w latach 1722—25 i wtedy twierdza stała się gigantycznym... więzieniem, absolutnie doskonałym miejscem odosobnienia, z którego udała się tylko jedna ucieczka w dziejach zamczyska. Gen. Henry Girand w dniu 19 IV 1942 r. opuścił się na linie w 45-metrową przepaść, uciekając z Oflagu IVB, mieszczącego się w twierdzy.

Polonica w tym ponurym miejscu, to herby Augusta II z godłami polskimi nad sklepieniami bram i zachowane budynki, gdzie mieścił się obóz jeniecki dla kilkudziesięciu wyższych oficerów polskich w latach II wojny.

*

Lipsk od razu kojarzy się z fragmentem epopei napoleońskiej i tułaczymi w tym czasie losami polskiego żołnierza: Bitwa Narodów w 1813 roku, Elstera i śmierć księcia Józefa Poniatowskiego.

Trudno sobie dziś wyobrazić wśród murów metropolii i wielkomiejskiego ruchu, scenerię tamtej bitwy toczonej zawzięcie wśród opłotków, ogrodów i willowej zabudowy przedmieścia, rozlanych wód Elstery i Pleissy. Około 300 tys. żołnierzy — korpusy rosyjskie, szwedzkie, pruskie, austriackie — wojska koalicji przeciw 150-tysięcznej, wielojęzycznej armii napoleońskiej, gdzie niepoślednie miejsce zajmowały legie Księstwa Warszawskiego, a zwłaszcza VIII korpus francusko-polski pod wodzą księcia Józefa. Od kilku dni lał ulewny deszcz. Rzeki wystąpiły z brzegów, rozmiękła ziemia ogrodów, drogi zamieniły się w bajora, rozdeptane tysiącami nóg ludzkich i końskich. Zacięta bitwa trwa już czwarty dzień. Książę Józef Poniatowski — mianowany marszałkiem Francji na polu walki (tytuł, jakiego nikt z cudzoziemców nigdy nie otrzymał), generał wojsk Księstwa Warszawskiego, jest już w toku bitwy trzykrotnie ranny. Nadal dowodzi, prowadzi przez błotniste ogrody kontratak na bagnety, otrzymuje czwartą ranę, kulę w bok, traci przytomność. Odzyskał ją po chwili, opatrzony, dosiadł z trudem świeżego konia i dalej dowodzi. Wreszcie o kilka kroków dostrzegł nieprzyjacielskie bagnety ... „porwał się raptem sił ostatkiem i skoczył z koniem do Elstery. Tu ostatnią kulę odbiera w lewą pierś, przeszyty na wylot osuwa się z konia i po krótkim pasowaniu się — znika pod wodą..." pisze Szymon Askenazy w biografii księcia Józefa o ostatnich chwilach życia wodza i żołnierza, który bił się w straży tylnej, by osłonić odwrót cofającego się korpusu.

Na niewielkim skwerku przy ulicy noszącej imię Waltera Ulbrichta — jest dom, w którym się urodził, stoi skromny obelisk z napisem informującym, że w tym miejscu zginął książę Poniatowski. Pod cokołem wiązanki biało-czerwonych goździków... Zwykłą żołnierską śmierć księcia Józefa opromieniła legenda i żarliwość polemicznych sporów trwających z przerwami już 150 lat! Wierny żołnierz księcia wykupił przed laty kawałek ogrodu, położył kamień i wyrył słowa polskie i łacińskie, utrwalając miejsce śmierci swego wodza. Przetrwał ten kamień do dziś, otoczony szacunkiem mieszkańców Lipska, dekorowany kwiatami od Polaków odwiedzających to miejsce.

Lipsk, to nie tylko ten fragment dziejów, ale głównie miasto znane z międzynarodowych targów przemysłowych, pawilon stałej polskiej ekspozycji, nawiązujący żywo do współczesności — żywych stosunków handlowych między NRD i Polską.

*

Zaledwie 6 km na północ od Weimaru, na szczycie góry Ettensberg, rozciąga się teren obozu Buchenwald, założonego w 1937 roku. Obóz został rozbudowany w 1941 r., stał się miejscem zbrodni, gdzie na bramie dano perfidny napis „każdemu na co zasłużył", zginęło tu ok. 30 tys. Polaków, a przeszło przez obóz ok. 240 tys. ludzi 18 narodowości.

Na dawnym placu apelowym jest miejsce upamiętnione męczeństwem Polaków. Położono tu kamienną płytę z napisem, że w tym miejscu w grudniu 1939 r. umieszczono pod namiotami transport ok. 5 tys. Polaków z Poznańskiego i Pomorza, a 124 spośród nich zamęczono głodem w klatce z kolczastego drutu, na oczach całego obozu.

Nieco dalej w dawnym budynku magazynu obozowego zorganizowano

(Ciąg dalszy na str. 6)

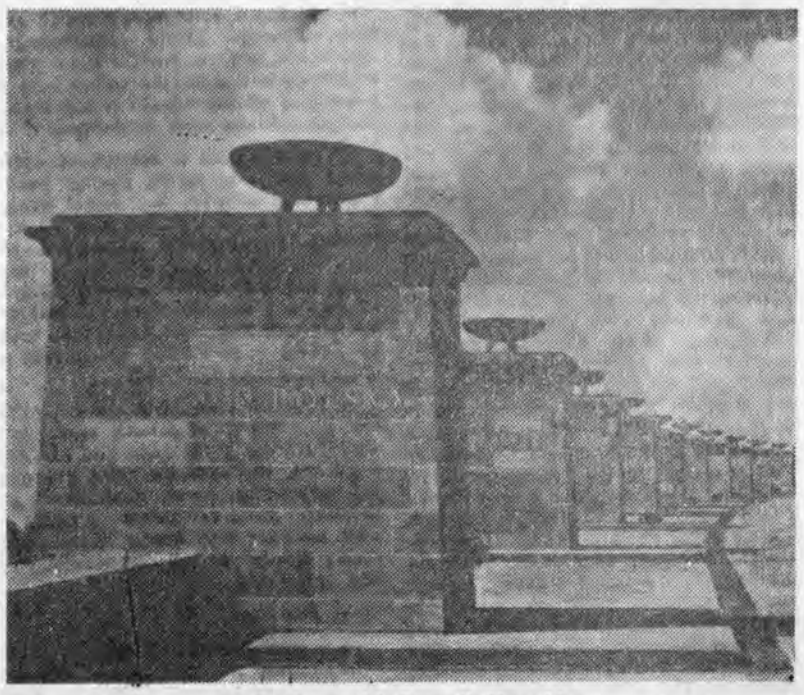

Buchenwald: Pomnik Narodów.

ADAM JANUSZ BIEŃ

OTWARTE DRZWI

OPOWIADANIE

Pomyślał, że nie będzie za nią gonił; nie zada sobie trudu, aby podnieść się z łóżka, na którym leży wygodnie rozciągnięty, z rękami założonymi pod głową, patrząc jednocześnie w sufit, w jego przybrudzoną biel, ulubioną barwę Utrilla, speca od wąskich uliczek, zaułków wielkomiejskich, wąziutkich korytarzy ściśniętych murami kamienic, przypominających mu sytuacje bez wyjścia, takie właśnie, kiedy trzeba się cofnąć, żeby postąpić chociaż by jeden krok...

Ale on nie lubi się cofać. Uważa, iż nie wolno mu tego robić, ponieważ podjęcie tego rodzaju decyzji byłoby rzeczą niepoważną, głupią, niezbyt męską. Więc zamiast wstać i pobiec za nią — ona na pewno nie doszła jeszcze do przystanku, ogląda się za nim, czeka... — zamiast zawołać ją po imieniu i wrócić tu, gdzie było im dobrze, dopóki nie poróżniła ich dzisiejsza rozmowa: kilka ostrych, złośliwie wypowiedzianych słów — zamiast uśmiechnąć się do niej i szepnąć parę banałów w stylu: „nie przejmuj się, mała, drobiazgami", „wszystko się jakoś ułoży" albo „nie trzeba denerwować się byle czym" — zamiast to uczynić, co wcale nie pociągało za sobą zbyt wielu wyrzeczeń, a podziałałoby niewątpliwie uspokajająco jak brom — zaciął się, milczał uparcie, kiedy odchodziła, nie zawołał za nią „zaczekaj" i teraz, przewracając się z boku na bok, słucha zgrzytliwego kwiku żelaznego łóżka, które skrzypi przy każdym ruchu jego ciała.

„Jak ty możesz wytrzymać, jak ty śpisz na tym gracie? Takie ładne tapczany są w domu towarowym, a ty...". Mimo że przed chwilą wyszła z tego pokoju, pozostały tu jej słowa, konkretne, solidne słowa gospodarnej kobietki.

Spogląda zaziwionym wzrokiem na swoje stare, ściągnięte ze strychu łóżko i śmieszą go pretensje dziewczyny. Czego ona chce? Przecież tutaj właśnie jakaś inna — może jej matka, a może babcia — pieściła ślubnego małżonka lub zabawiała się z namiętnym kochankiem, przeżywając szczęśliwą miłość, a wyglądające dziś nieco dziwnie łóże było wtedy pierwszym krzykiem secesyjnej mody. Lecz ona o tym nie wie, ona tylko widzi, zobaczyła gdzieś w sklepie lub u znajomych i już szczebiocze: śliczne, ładne, trzeba koniecznie kupić, od razu się tu zmieni, będzie uroczo, stojąca lampa, niewielki stolik, obok foteliki, pod ścianą tapczan...

Skrzypi. Kiedy obraca się, zmieniając niewygodną pozycję, łóżko ugina się pod nim i jęczą sprężyny. Patrzy w okno. Szyby są szare, pocięte strumyczkami wody. Chyba pada deszcz. Mglisto. Nie widać słońca i nie widać jej kolorowej sukienki. Pewnie jest już daleko, dochodzi do przystanku. Gdyby teraz wstał i pobiegł, mógłby ją jeszcze dogonić. On jednak nie chce się cofać, nie umie i nie lubi albo jest naiwnym fatalistą jak sąsiad-emeryt, człowiek cichy i spokojny, pogodzony z rzeczywistością, który nie skamle, nie psioczy, co będzie to będzie, powiada, taki los, nażyło się już dosyć, teraz czekam, nawet drzwi, proszę pana, nie zamykam, bo byłby kłopot, gdyby tak coś — nie daj Boże — stało się w nocy, wielki kłopot, proszę pana, z zawiasów trzeba by je wyrywać, a drzewo obecnie drogie, więc szkoda niszczyć, i dlatego nie zamykam i w związku z tym mam do pana prośbę, jak pan będzie szedł rano do roboty, to prosiłbym łaskawie zajrzeć do mnie na momencik, bo może trzeba będzie zrobić zastrzyk, wówczas pan zadzwoniłby do pielęgniarki, żeby przyszła, przepraszam najmocniej za ten kłopot, ale nie mam tu nikogo, pan rozumie, człowiek sam jak palec...

Dzisiaj cisza u staruszka za ścianą. Nie kaszle, nie charczy i nie pluje. Przykłada ucho do muru, lecz nadal nic nie słychać. Mur jest gruby, tłumi wszelkie odgłosy. Zastanawia się, co z tym staruszkiem... Czyżby zasnął? Ale nie myśli o nim zbyt długo, bo gdy przymyka oczy, znika obraz chorego, a jego miejsce zajmuje zupełnie inny: to ona w kolorowej sukience. Widzi ją wyraźnie, obserwuje każdy jej ruch, kiedy wsiada do autobusu. Uśmiechnięty lowelas, przepychając się przez tłum, toruje jej drogę, proszę bardzo, mówi, tu luźniej, i spogląda na jej nogi: długie, opięte pończochami niczym pancerzem; proszę, powtarza, a potem, korzystając z okazji, klei się do jej ciała, do jej ciepłych nóg..

— Ta pańska to zgrabnula — zauważył kiedyś staruszek. Siedział na ławce przed domem, grzejąc się w słońcu. Był początek jesieni. Wrzesień. Dużo liści jeszcze na drzewach i rdzewiejącego złota. Nawet twarz staruszka wyglądała mniej blado niż zwykle. — Przyglądnąłem się jej dość dokładnie — mówi. — Pan wrócił się do domu, gdyż widocznie coś zapomnieliście i ona stała przez ten czas koło mnie. Caca — cmoknął pełen zachwytu. — Zgrabnula, jakich mało! Gdzie pracuje, jeśli można wiedzieć?

— W banku.

— O! — zdziwił się staruszek. — To nieźle. Myślałem, że w balecie, bo nóżki klasa... Ale te aktoreczki to... wie pan, trochę tego... Zatem lepiej, że ona w banku, porządna panienka. Kiedy macie zamiar się pobrać, na święta?

— Jeszcze nie wiadomo.

— No tak, rozumiem. Poważna sprawa i wydatki... Może pan wstąpi na chwileczkę? — Staruszek podnosi się z ławki. Zaprasza do siebie gestem serdecznym, o jakimś winie wspominając. — Mam jeszcze butelkę porzeczkowego, co żona własnoręcznie robiła. Wypijemy po kieliszeczku, rozgrzejemy się, bo chłodno, proszę pana, jesień idzie.

Słońce już zaszło. Wpadło między dachy wieżowców, staczając się poza wierzchołki drzew. Aleje parku wypełniają pełznące w milczeniu cienie. Dopiero z bliska, kiedy człowiek przyjrzy się uważnie, widać, że to dwoje: ona i on, objęci kurczowym uściskiem suną w mrok.

Staruszek, patrząc za nimi, wyrozumiale kiwa głową.

— Ja też z żoną nieboszczką spacery lubiem. Takie romantyczne, nad rzeką lub po parku. Teraz mam reumatyzm i nerki mi dokuczają po alkoholu, zatem uważam na siebie, ale po kieliszeczku możemy...

W mieszkaniu u staruszka szaro. Kurz grubą warstwą pokrył meble i pozostałe obrazy. Staruszek krząta się wokół stołu. Głośno dzwoni kieliszkami, przynosząc butelkę. A potem nalewa drżącą dłonią. — Oby wam się wiodło! — Pije drobnymi łyczkami i odstawiwszy na bok nie opróżniony zupełnie kieliszek, sięga po jedną z fotografii stojących na staroświeckiej etażerce.

— Oto ona... — Nachyla się, grzebie palcami w kieszeni, wyciąga z niej futerał, z futerału zaś okulary i patrzy, podnosi do oczu fotografię, spostrzegł kurz, dmuchnął, zakaszlał, starł rękawem proch. — Tak właśnie wyglądała w młodości, kiedy żylaki jej nie dokuczały. Proszę spojrzeć...

— Ładna.

— I posag miała, proszę pana, urządziliśmy się jakoś... — Na pomarszczonej twarzy staruszka pojawił się uśmiech: jasny, pogodny, prawie radosny. — Niech pan kiedyś przyjdzie — prosi. — Porozmawiamy i wypijemy resztę. — Chowa do kredensu nadpoczętą butelkę.

W zimie pogorszyło się staruszkowi. Leży i z łóżka nie wstaje. Wyblakłymi oczyma wodzi po ścianach, nie dostrzegając ludzi. Szepcze coś, rozmawiając sam ze sobą albo z tamtymi, których już nie ma i którzy patrzą nań z pożółkłych fotografii, stojących na zakurzonej etażerce.

— Damy ojca do szpitala — mówi syn, co wziął trzy dni wolnego i przyjechał skądś, aby go odwiedzić. — Wzielibyśmy do siebie, lecz u nas ciasno, mieszkanie małe. W szpitalu otoczą ojca właściwą opieką i wydobrzeje ojciec do wiosny.

Staruszek nie chce. Złości się, gdy mu o tym wciąż wspominają.

— Nigdzie stąd nie pójdę — szepcze ledwie dosłyszalnym, ale zawziętym głosem. — Dajcie mi spokój.

Zdarzają się dni, kiedy staruszek czuje się lepiej. Wtedy puka w ścianę.

— Przepraszam, że przeszkadzam, ale chciałem prosić, aby pan nie zamykał drzwi. Będzie pan pamiętał?

— Będę.

Czasami jęczy dość głośno. Wtedy dziewczyna, która przychodzi do niego, niecierpliwie unosi głowę.

— To on — pyta — ten dziadek?

— Tak.

— Bardzo się męczy?

— Bardzo.

— Biedny — mówi dziewczyna. — Żal mi go.

Wkrótce jednak zapomina o współczuciu. Nie słyszy już jęku starego człowieka. Usta ma gorące, o szerokich drżących wargach. Jej włosy rozsypują się, odsłaniając nagą szyję. Gdy całuje białą, gładką szyję — dziewczyną wstrząsa dreszcz. I nie pyta już o nic i nic ją nie obchodzi, co dzieje się obok. Łóżko ją tylko denerwuje: — Tak skrzypi — mówi — tak okropnie, nie mogę tego znieść, dlaczego się stąd nie wyprowadzisz, dlaczego nie zamieszkasz jak ludzie, dlaczego nie masz porządnego pokoju i porządnych mebli, kiedy będziemy je mieli, kiedy będziemy zawsze razem, powiedz mi, słyszysz...

— Nie wiem — mówi, a gdy wypowiada te słowa, twarz ma zawziętą, upartą, czoło zaś pocięte zmarszczkami, podobnie jak czoło starca zza ściany. — Nie wiem, po co być zawsze razem — mówi. — Nie wiem, po co się męczyć tyle lat, po co patrzeć na swoje żółkniejące ciało, na twoje sine żylaki, po co zbierać fotografie, które pokryje kurz, po co to wszystko, pytam, do ciężkiej cholery...

— Głupiś! — krzyczy dziewczyna. Już płacze, już kapią łzy. Tusz się rozmazał i spływa po policzkach. Zagryza ze złości wargi. — Idiota! — mówi. — Kompletny dureń! Czy ty myślisz, że jesteś jeden na świecie, że nie znajdę sobie innego, lepszego od ciebie...

— Szukaj!

— Dobrze.

— Idziesz?

— Oczywiście — mówi dziewczyna. — I nie wrócę!

Rys. J. SIENKIEWICZ

— Jak chcesz...

— Otwórz drzwi!

— U mnie drzwi są zawsze otwarte. Ja nie zamykam, bo ja się nie boję...

Poszła. Nie podniósł się z łóżka. Nie zawołał za nią „zaczekaj, ja żartowałem!". Nie podbiegł do niej na ulicy i nie powiedział „wróć". Nie lubi się cofać. Leży wygodnie rozciągnięty, z rękami założonymi pod głową. Przewraca się z boku na bok. Patrzy w sufit. Patrzy w ścianę. Na tej ścianie obrazek; niewielki, białawo smutny, jak brudny zimowy śnieg lub kawałek cmentarnego muru. Na tym obrazku uliczka, wąska i ciasna, zamknięta ze wszystkich stron, ślepa jakby bez wyjścia — Utrillo.

Przewraca się niespokojnie na skrzypiącym łóżku. Tamten za ścianą ucichł, nie jęczy, nie pluje i nie puka. Chyba zasnął. A może umarł... Przykładając ucho do zimnego muru, nadsłuchuje.

Ktoś idzie po schodach lekkim dziewczęcym krokiem. Unosi się na łokciach, spogląda w stronę drzwi, czeka. Może ona — myśli — może wróciła i zaraz tu przyjdzie, bo zrozumiała, decyduje się na to samo, co on. Serce zabiło mu nieco mocniej. Zgasił żarzącego się papierosa. Nie wstając z łóżka, woła:

— Wejdź, proszę! Drzwi są otwarte. Ja nigdy nie zamykam. Wchodź!

— Przepraszam, czy pan jest chory?

— Ja... — Mruga szybko powiekami. Jest zaskoczony, bo to nie ona i nie jej głos, lecz obcy, trochę zachrypnięty, i ona obca, ta kobieta, utleniona blondynka, która stojąc w półotwartych drzwiach, mówi:

— Wezwano mnie do chorego. Jestem pielęgniarką. Numer mieszkania trzy. To tutaj?

— Tak. Naprzeciw.

— Dziękuję.

Wychodzi, lecz po chwili zjawia się znowu.

— Musi mi pan pomóc — mówi. — On stracił przytomność. Rzuca się na łóżku i uniemożliwia mi zrobienie zastrzyku. Majaczy, bredzi coś, nie mogę go zrozumieć, o jakichś drzwiach mówi, krzyczy, przytrzyma go pan.

Gniotąc ciało staruszka, obserwuje jej zwinne palce. Staruszek uspokojony morfiną przestaje krzyczeć, leży nieruchomo, oczy ma przymknięte, śpi. Kobieta spogląda nań badawczym wzrokiem.

— Ktoś z rodziny?

— Nie, sąsiad.

— Ach, tak... — mówi, chowając strzykawkę. Wyjmuje z torebki szminkę. Poprawia usta. — Jutro mi pan również pomoże. Czy będzie pan jutro... To dobrze, bo sama nie dałabym rady. — Obrzuca go zalotnym spojrzeniem. — A pan nie ma nikogo — pyta ciekawie — kocha pan samotność? I co, nie męczy to pana, nie nudzi? Towarzystwo chorego niezbyt przyjemne, ten ciągły jęk i krzyk za ścianą, to naprawdę niewesołe. — Uśmiechając się wciąż powabnie i stojąc już w progu, odwraca głowę. — Do widzenia, ale niech pan nie zapomni, niech pan jutro będzie, tylko na pewno, bo ja nie lubię rozczarowań... Przytrzymamy go, zrobimy zastrzyk. On powinien jeszcze pociągnąć, jeszcze trochę, kilka dni. Do widzenia...

Teatr telewizji w nowym

Wrześniową premierą na małym ekranie będzie „Król Edyp" Sofoklesa z Eichlerówną i Holoubkiem, w reżyserii Jerzego Gruzy — próba nowoczesnej inscenizacji klasyki, odejścia od konwencji teatru antycznego. W przyszłym miesiącu obejrzymy też klasyczną już pozycję z repertuaru komedii bulwarowych „Król" Caillaveta i Flersa w reż. Edwarda Dziewońskiego, adaptację reymontowskiej „Ziemi obiecanej" pióra Henryka Jakóbczyka oraz przedstawienie „Haftowanych ostów" wg powieści „Haori" współczesnego pisarza japońskiego Juana (reżyseruje Janusz Majewski).

W październiku nadane zostaną: nowa sztuka radziecka, poruszająca współczesną tematykę obyczajowo-moralną „Wyzwanie bogom" Anatolija Delendyka w reżyserii Konstantego Ciciszwilego, adaptacja „Brulionu" Romana Bratnego w reżyserii Zbigniewa Kuźmińskiego, radziecka sztuka telewizyjna Borysa Ławremiewa, „Siódmy satelita" w gościnnej reżyserii Wsiewołoda Turbina, „Poletko nad jeziorem" wg opowiadania Józefa Lenarta (reż. Z. Kuźmińskiego) oraz tragifarsa Janusza Krasińskiego „Czapa" w reżyserii Tadeusza Jaworskiego z Tadeuszem Fijewskim i Janem Matyjaszkiewiczem.

A oto pozycje znajdujące się w przygotowaniu, które obejrzymy jeszcze w br.: „Don Carlos" Schillera w reżyserii Ireneusza Kanickiego, „Poemat pedagogiczny" wg Makarenki (reż. Jerzy Rakowiecki), „Na wsi wesele" wg Marii Dąbrowskiej (reż. Adam Hanuszkiewicz), „Mieszkanie do wynajęcia" Nestroya (reż. Józef Słotwiński), „Łagodna dziewczyna" wg opowiadania Dostojewskiego (reż. Janusz Warmiński), „Kościuszko" — oryginalne widowisko Jerzego Krasowskiego, poruszające problem stosunku Kościuszki do Napoleona, utwór oparty na nowych badaniach historycznych, „Pułapka na królika" autora telewizyjnego J. P. Millera (reż. T. Dziewoński), „Koniec maskarady" — telewizyjna wersja „Uczty morderców" Andrzeja Wydrzyńskiego, „Nokturn" wg Paustowskiego (scenariusz Stanisława Grochowiaka, reżyseria Tadeusza Jaworskiego).

*

— Poczynając od października — informuje przedstawiciela PAP naczelny redaktor programów kulturalnych i artystycznych polskiej TV, Stanisław Kuszewski — wprowadzamy nowy cykl, który nazwaliśmy „Teatr na świecie". W jedną z niedziel każdego miesiąca przedstawiać będziemy utrwalone na taśmie szczególnie interesujące spektakle, przygotowane przez zagraniczne telewizje. Cykl zainaugurujemy zapewne „Śmiercią sędziego Gołowina" wg Lwa Tołstoja, w wykonaniu teatru węgierskiej telewizji, spektaklem, który przyniósł Węgrom nagrodę w Monte Carlo. Dalsze pozycje w tym cyklu, to interesujący dramat japoński „Na stacji", słowackie widowisko oparte na folklorze „Kubo" i inne.

Przygotowujemy się też do podjęcia cyklu „Współczesna komedia polska". Scenariusze piszą: Agnieszka Osiecka, Zofia Bystrzycka, Andrzej Jarecki, Zdzisław Skowroński, filmowcy — Tadeusz Chmielewski, Janusz Majewski i in. Cykl rozpoczniemy późną jesienią.

Myślimy też o innym stałym cyklu — inscenizacji monodramów w wykonaniu najwybitniejszych aktorów. Na pierwszy ogień pójdą „Listy panny de Lespinasse" w wykonaniu Haliny Mikołajskiej i „Trzynasty apostoł" Majakowskiego z Mirosławą Dubrawską i Tadeuszem Malakiem. W przygotowaniu programy z Wojciechem Siemionem i Gustawem Holoubkiem.

Cecylia Błońska

ZAZDROSNA Z FABRYCZNEJ CZOŁÓWKI

Zazdrość jest tematem starym jak świat, dawnym jak miłość i jak wszystkie namiętności stanowi motyw powszechny w literaturze.

Nie przeszkadzało to przedwojennej powieści Michała Choromańskiego „Zazdrość i medycyna" urosnąć do rangi długo i namiętnie dyskutowanego bestselleru. Tam zazdrosnym w sposób okrutny, wyniszczający, był mężczyzna zakochany w przewrotnej Rebece Tamtenowej.

W najnowszej powieści **Wandy Melcer** (Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1967 r., str. 236), „**Z a z d r o s n a**", to znana przodownica wielkiego kombinatu włókienniczego, brygadzistka Łucja. Kombinat zatrudnia przytłaczającą liczbę kobiet. Więc i Łucja, chociaż już matka dwojga dzieci, jak inne szuka chwilowych przygód z młodzieńcami odbywającymi służbę w miejscowej jednostce wojskowej.

Od pierwszych chwil stosunek z młodziutkim poborowym Zygmuntem Kałużnym kształtuje się z wyraźną przewagą jej inicjatywy, pomysłowości: to ona przelotną znajomość Zygmunta szybko przekuć chce w dozgonne stadło małżeńskie.

Nawykła do samodzielności, szanowana w fabryce, dobrze zarabiająca kobieta, traktuje swego młodziutkiego małżonka niczym bezwolną własność.

Z dużą znajomością psychiki władczej, zaborczej, Wanda Melcer zarysowuje narastanie nieuchronnego konfliktu. Nie ulega wątpliwości, że pełen sił, zdrowy, w miarę inteligentny i przedsiębiorczy Zygmunt nie zgodzi się na wyznaczoną mu przez Łucję rolę niepracującego współmałżonka, niańczącego jej małego synka w zasobnie urządzonym mieszkanku.

Łucja nie może zrozumieć, że tak szybko okazują się niewystarczające przysmaki, którymi go karmi, pieniądze, których dlań nie skąpi, zdobywając się nawet na kupno skutera.

Mężczyzna pragnie bardziej samodzielnego życia, odrobiny wolności, buntując się przeciwko upokarzającemu prymatowi zazdrosnej żony. Zanim zdobędzie się na odwagę i po burzliwej awanturze uzyska od niej zgodę na podjęcie pracy w fabryce, zaryzykuje kilka nic nie znaczących awanturek miłosnych, przy czym jedna dochodzi do skutku w mieszkaniu nieobecnej Łucji, z jej młodszą koleżanką, zalotną Zośką o włosach wytlenionych i świetlistych niby neonowy kask.

W sumie jednakże, gdyby nie czerw nieufności, unicestwiający każdą spokojną chwilę, tak dawniej radosne sukcesy z zawodowej pracy, Łucja mogłaby mówić o szczęściu. Ofiarą zbrodni zamroczonej zazdrością kobiety, padnie ów młody partner, istotnie oddany jej i dobry towarzysz życia. Wątek Łucja — Zygmunt zakończy się katastrofą. Przy końcu powieści zdradza on pewne słabości, że wspomnę zbyt szybko i jakby pośpiesznie wyeksponowany epilog. Ale mimo tego niedostatku, „Zazdrosną" zaliczyć można do pocześniejszych nowości literatury.

Autorka chwilami w sposób iście mistrzowski przenosi czytelnika w środowisko kombinatu, w atmosferę jego powszedniego dnia, w kulisy współzawodnictwa przy krosnach, w tajniki życia hotelu robotniczego, świetlicy, osiedla, zdradzając niepoślednią znajomość tematu. To nie tkacze z popularnej broszury, to nie wycięte z papieru płaskie sylwetki tkaczek. To ludzie z krwi i kości, posługujący się zróżnicowanym językiem, wnoszący do przemysłowego ośrodka swoje niepokonane jeszcze nawyki myślenia, postępowania, obyczaje z rzeszowskich przysiółków, z ubożuchnych krakowskich zagród.

Są w „Zazdrosnej" tak kapitalne partie, jak relacja z dnia po niedzieli w fabryce, gdy

„Wszyscy chodzili zdenerwowani, nie wiadomo dlaczego w poniedziałek Rada Zakładowa najwięcej ma zawsze roboty, wszyscy umyślili sobie przychodzić właśnie w poniedziałek z różnymi kłopotliwymi pytaniami i Majzner miał tyle roboty, że bezustannie powtarzał: — Po coście mnie, ludzie, wybierali? Sto razy bym wolał wrócić do produkcji!"

Jest barwny opis balu fabrycznego z trafnie podpatrzonymi niuansami dzielącymi według wewnątrzzakładowej hierarchii stoliki, tancerzy, poszczególne towarzystwa, pośród których odpowiednie miejsce znajdzie się dla Łucji jako przodownicy z długim stażem.

Kolektyw ten ceni sobie na ogół swą pracę, zdobyte kwalifikacje, zarobki. Z nietajonym sentymentem Melcer opisuje to pierwsze pokolenie robotnic, rozpoczynających dzień pracy przy swych maszynach: „wyłączniki trzaskały szybko jeden po drugim, jak salwy maszynowego karabinu i oto cała olbrzymia, nowoczesna hala, wsparta na jednym potężnym filarze i wypełniona najnowszymi maszynami, zdaje się drgać i wibrować od przenikliwego jazgotu bard, który teraz nie ustaje ani na chwilę aż do późnego wieczoru, kiedy ostatnia zmiana rozejdzie się do domu".

Ale Łucji nic już nie jest w stanie zainteresować ni ucieszyć. Ani pogaduszki w stołówce z dowcipnymi kucharkami, mądrymi nieomal, jak te ich koleżanki, które w znanym powiedzeniu nosić by miały buławę w plecaku, ani rozmowy z uczennicami, które tak zgrabnie przysposabia do zawodu, ani z majstrami, którzy często korzystają z jej doświadczenia, ni z przemądrzałą higienistką, której dawniej tak chętnie wykazywała wyższość swego trzeźwego rozumu.

Jeszcze tylko chwilami w zaciszu mieszkanka, gdy umiłowany człowiek jest z nią, odizolowany od całego świata, Łucja doznaje chwilowego rozluźnienia... **„uspokajała się pomału, był przecież znowu w domu i nie potrzebowała myśleć gorączkowo, gdzie jest, za dużo zaprzątał jej uwagi, gniewała się na niego i o to także".**

Miała doń pretensje, gdy nieoczekiwane awarie uderzały w jej zarobki. Wszystko cokolwiek wydarzało się z nią teraz, odnosiła bezpośrednio do kochanego ponad wszystko mężczyzny, w nim już tylko upatrując źródła swego szczęścia lub klęski. Moment katastrofy następuje bezpośrednio po krytycznym dniu w fabryce, gdy Łucja przekonuje się, że wykradano jej prawidłowo wykonane bele materiałów i podkładano tkaniny z dużymi brakami, wykorzystując jej roztargnienie, ciągłe myślenie o tym samym...

Pisarstwo Wandy Melcer, literatki międzywojennego dwudziestolecia, w „Zazdrosnej", dzięki bardziej współczesnym, zwięzłym środkom artystycznego wyrazu, stało się bliższe percepcji współczesnego czytelnika i — w przeciwieństwie do poprzednich pozycji — w tej opowieści o intymnych losach dwojga ludzi, wolne od tandetnego erotyzmu.

W dziejach Łucji, z a z d r o ś n i być może odnajdą coś ze swego niepokoju, wyczytają jakąś przestrogę czy ostrzeżenie.

Prawdopodobnie, niezależnie od stopnia kultury, jaki reprezentują, burzliwy los Łucji, rzucony na jakże swojskie tło obyczajowe, wyda im się bliski. Może i oni (Łucji nie ma tu już co brać pod uwagę), z trudem akceptowaliby tak znane obecnie cienk'e rozważania Simone de Bauvoir z „Siłą rzeczy" o niemożliwości dochowania wierności w miłosnym związku, o wzajemnym przywiązaniu, które za tę wierność — raczej bez dyskusji ze strony współpartnera — starczyć winno...

sezonie

Poza tym — jak dotychczas — w teatrze poniedziałkowym będziemy starali się prezentować najbardziej znane utwory, zarówno z repretuaru klasycznego, jak też współczesnego; kontynuowane będą środowe cykle: „Studio współczesne" oraz „Studio-63" kierowane przez Adama Hanuszkiewicza. Piątek przeznaczony będzie głównie na inscenizacje przygotowane w ośrodkach pozawarszawskich, a w teatrze niedzielnym nadawane będą przede wszystkim utwory komediowe. W cyklu „Estrada literacka" już w początkach września przedstawimy program poświęcony Apollinaire'owi, w październiku zaś — „Eugeniusza Oniegina" Puszkina.

Przygotowujemy się do przejęcia pod koniec tego roku wielkiego studia w budowanym Ośrodku Radiowo-Telewizyjnym. Studio nie tylko poprawi warunki pracy, ale pozwoli także na nowe rozwiązania inscenizacyjne, wzbogacenie form przedstawień. Mamy też otrzymać nową aparaturę telerecordingu 35 mm (obecnie dysponujemy 16 mm), która ułatwi „zapis" przedstawień na taśmie, a tym samym bardziej racjonalne gospodarowanie repertuarem.

(Rozmawiał Romuald Załuska, (Kt-PAP)

William Faulkner: WIELKI LAS. Tłum. Z. Kierszys i J. Zakrzewski. PIW, s. 186, cena 15 zł. Wyd. II.

Autor jest laureatem Nagrody Nobla. Książka jest zbiorem opowiadań myśliwskich tego znakomitego pisarza amerykańskiego. Psychologia postaci i świetny styl to dalsze atuty tej książki.

NA POŁUDNIE OD SAHARY. Opowiadania afrykańskie. Słowo wstępne i noty R. Ohly. PIW, s. 340, cena 28 zł.

Zbiór 36 opowiadań autorów u nas mało znanych, bądź nie znanych w ogóle. Przedstawia wybrane utwory autorów afro-angielskich, afro-francuskich i afro-portugalskich. Ciekawe tło i ciekawe ujęcia tematu.

Aleksander Grin: BIEGNĄCA PO FALACH. Tłum. L. Piotrowska. Iskry, s. 206, cena 15 zł.

Autor, syn polskiego zesłańca i matki Rosjanki, był kolejno tragarzem, marynarzem, drwalem i flisakiem. Stworzył świat ludzi odważnych i wesołych, opisywał życie pełne przygód. Głównie dla młodzieży, ale i starszym polecam.

Wiktor Zawada: KAKTUSY Z ZIELONEJ ULICY. Wyd. Lubelskie, s. 260, cena 15 zł.

W dużym (20 000) nakładzie powieść dla młodzieży. Akcja rozgrywa się w okresie okupacji hitlerowskiej, a grupa młodych przeżywa wiele przygód...

Mieczysława Buczkówna: DRUGI WOJTUŚ. Czytelnik, s. 157, cena 18 zł.

Tę typową pozycję literatury dziecięcej ilustrował A. Strumiłło.

Ludwik Souček: POSKROMICIELE DIABŁÓW. Iskry, s. 176, cena 13 zł. Tłum. C. Dmochowska.

Autor, lekarz z zawodu, popularność zdobył powieściami dla młodzieży. Omawiana opowiada o niezwykłych przygodach grupy czeskich uczonych na pustyni Gobi. Dla młodzieży.

John Updike: FARMA. Tłum. M. Skibniewska. PIW, s. 182, cena 12 zł.

Amerykański autor. Współczesna proza i to dobra. Obraz życia amerykańskiej prowincji.

Neil Kessel, Henry Walton: ALKOHOLIZM. PWN, s. 199, cena 10 zł.

W serii „Omega" studium przedstawiające psychologiczny i medyczny aspekt alkoholizmu. Formy pijaństwa i jego skutki na organizm ludzki.

Jorge Ibarguengoitia: BŁYSKAWICE SIERPNIOWE. Tłum. K. Wojciechowska. KiW, s. 156, cena 7 zł.

Autor — satyryk meksykański, laureat kilku nagród literackich. W 1964 r. w konkursie literackim krajów Ameryki Łacińskiej wymieniona książka uzyskała pierwszą nagrodę. Oparta na autentycznych historycznych wydarzeniach, uczy a zarazem bawi czytelnika dzięki doskonałemu zmysłowi obserwatorskiemu autora i jego specyficznemu humorowi.

Stanisław Komornicki: NA BARYKADACH WARSZAWY. MON, s. 363, cena 32 zł.

Jest to pamiętnik z dni powstania warszawskiego 1944 roku, a właściwie kronika drugiego plutonu 104 kompanii. Ciekawe fakty i materiał ilustracyjny. Przedmowa Zbigniewa Załuskiego.

Józef Lenart: PORTRET Z DIAMENTÓW. Iskry, s. 218, cena 18 zł.

Książka jest plonem podróży po ZSRR tego młodego prozaika pochodzącego z Rzeszowa. Mówi o tajemniczym Bajkale, o tajdze, przygodach ludzi, którzy poszukują skarbów ziemi na dalekiej Syberii i którzy zmieniają jej codzienny wygląd.

Olgierd Budrewicz: POZŁACANA DŻUNGLA. Iskry, s. 281, cena 22 zł.

Też z serii „Naokoło świata". Są to relacje znanego reportera z podróży po Peru, Boliwii, Paragwaju, Chile i Brazylii. Jak zwykle frapująca fabuła i ciekawe zdjęcia.

Arkady Fiedler: DZIKIE BANANY. Iskry, s. 287, cena 30 zł.

Drugie wydanie relacji z podróży po Wietnamie noszące podtytuł „U bujnych Tajów i mężnych Meo". Napisana z talentem książka będzie ciekawą lekturą dla każdego, kogo interesują sprawy bohaterskiego narodu wietnamskiego.

Maksymilian Berezowski: UŁANI I BUCHALTERZY, CZYLI GWARANCJE DLA POLSKI. KiW, s. 258, cena 18 zł.

Niezwykle ciekawa książka o wypadkach poprzedzających wrzesień 1939 roku, ukazująca polityczne motywy postępowania ówczesnych mężów stanu Polski, Anglii i Francji wobec hitlerowskich Niemiec. Autor — znany przede wszystkim jako publicysta „Trybuny Ludu" i korespondent z Londynu, Bliskiego i Dalekiego Wschodu.

Paul-Marie de la Gorce: FRANCJA UBOGICH. KiW, s. 223, cena 14 zł.

Autor podejmuje się przedstawienia zagadnienia ubóstwa we współczesnej Francji. Problem ten interesuje go z punktu widzenia psychologicznego, społecznego, a przede wszystkim politycznego.

M. Maruszewski, J. Reykowski, T. Tomaszewski: PSYCHOLOGIA JAKO NAUKA O CZŁOWIEKU. KiW, s. 314, cena 18 zł.

Psychologia współczesna staje się coraz wyraźniej jedną z nauk o człowieku. Autorzy wymienionego tomu opracowali następujące tematy z tej dziedziny: Mózg a procesy psychiczne, Osobowość, Aktywność człowieka, Czynności świadome.

KONSTYTUCJA POLSKIEJ RZECZYPOSPOLITEJ LUDOWEJ. KiW, cena 5 zł.

Jan Kochanowski: TRENY, s. 52, cena 4 zł.

Joanna Kulmowa: CYKUTA. Czytelnik, s. 64, cena 10 zł. Wiersze.

Felietony czas zacząć — telewizja rusza! Naturalnie do jesiennego ataku, który po ubożuchnym w pomysły lecie wcale nie musi być brawurowy, by i tak oszołomił oraz wywołał westchnienie ulgi, że ogórki mamy z głowy. Mieliśmy bowiem w letnim sezonie mizerię tradycyjną nader często...

Ale mieliśmy także parę sensownych letnich inicjatyw, z czego dwie na pewno znakomite: myślę o Telewizyjnym Festiwalu Teatrów Dramatycznych oraz Teleferiach, czyli programie przygotowywanym dla młodych telewidzów, często tych najmłodszych. TFTD — impreza zakrojona na ogromną skalę w czasie (zaczęta w lipcu — finał osiągnęła dopiero 4 września) chyba po raz pierwszy poczęła nabierać charakteru par ekscellence przeglądu możliwości teatralnych kraju, zdecydowanie rozkładając ciężar gatunkowy spektakli na poszczególne województwa. Pewnie, że brakło nam wielu: że nie widziało się teatru białostockiego, lubelskiego, opolskiego, tarnowskiego, rzeszowskiego i jeszcze paru innych, z których każdy przecie coś by tam znalazł w repertuarze i ambicjach do pokazania, że właśnie w tymże repertuarze zdarzyło się parę nieporozumień, ale, powtarzam, czuło się teren, widziało nową koncepcję festiwalu-giganta, który ma szanse w niedalekiej przyszłości stać się festiwalem wszelkich festiwali, obejmującym sprawiedliwie wszystkie regiony Polski teatralnej. Co — oby było już w przyszłym roku!

Ze spraw artystycznych cóż podkreślę? Że jeszcze raz przejęła mnie zbożnym podziwem inscenizacja „Woyzecka" büchnerowskiego Konrada Swinarskiego, że bywalcy Rzeszowskich Spotkań Teatralnych po raz wtóry i tym razem dokładnie podejrzeli urzekającą technikę gry do wewnątrz, owego zasłuchania w sobie Franciszka Pieczki, że sprawdza się stare porzekadło recenzentów telewizyjnych, iż rzeczy świetne są ponad wszelkie narzekania o specyfice małego ekranu.

I może na tym skończymy wspomnienie o festiwalu, choć przecie było jeszcze piękne przedstawienie „Snu srebrnego Salomei", prosto a przejmująco zagrany „Kowal, pieniądze i gwiazdy", był wielce kontrowersyjny „Makbet" w reżyserii Lidii Zamkow, gdzie ani Herdegen, ani sama Zamkow, nie grali Szekspira, lecz co najwyżej wahania psychologiczne dostojewszczyzny — słowem — szereg spektakli interesujących, z których oceny w dwóch słowach dawać się nie godzi. Zostańmy więc przy tym, że dano nam piękną imprezę, kłócącą się z powszechnie królującą nudą wakacji; wartą przypomnienia.

Drugą, wartą naszego entuzjazmu — były Teleferie. To trzeba było oglądać w miarę regularnie, by objąć całość pomysłu, by dostrzec, że po raz pierwszy telewizja wmieszała się w zwykłe, codzienne sprawy młodych ludzi. I to wmieszała na zasadzie organizatora, koordynatora, projektodawcy. Konkursy podwórkowe przypominały jako żywo turnieje miast w miniaturze, z tą wszakże przewagą nad dorosłymi, że charakteryzowało je tempo niemal chaplinowskich burlesek, że ojcowie pociech byli znacznie bardziej przejęci od młodocianych zawodników, że balkony domów służyły za tablice wyników, które sąsiedzi z wielką życzliwością obsługiwali, uprzednio naturalnie je wypożyczając...

Poczta Teleferii, obfita i różnorodna, wakacyjna pierwsza pomoc pana Słodowego, sympatyczny wywiad z szybowniczką Majewską, z hobbystą od zegarów i wreszcie wspomniane turnieje o żółtą żyrafę — starczy tego na laurowy wieniec dla redakcji młodzieżowej, która odwrotnie niż to czyniły inne redakcje, zrobiła wszystko, by dzieciom z miast, które musiały w nich pozostać w czas wielkiego wędrowania wakacyjnego, to pozostanie umilić.

I wreszcie trzecia sprawa, o której godziłoby się wspomnieć — to programy naszego sąsiada — telewizji krakowskiej. Z tych, które udało mi się zobaczyć, cóż zapamiętałam? — A więc jedną „Kronikę", robioną w myśl beckettowskiego teatru gdzie Godotem była Ewa Demarczyk przeto zjawić się nie mogła, doskonale pomyślany program o Westerplatte, gdzie zmieścił się i wywiad, i komentarz, i dokument filmowy, arcymiły i wesoły reportażyk o jednej z najwybitniejszych postaci krakowskich — Andrzeju Stopce, włączony w wieczór prezentacji nagrodzonych twórców, coraz częściej powtarzające się nazwisko Michała Sprusińskiego, który o nowościach wydawniczych potrafi zawsze powiedzieć słów parę zwięźle i trafnie, i wreszcie, aby oddać sprawiedliwość, że i Rzeszowszczyzna nie jest całkiem zapomniana — o turnieju trzech zdrojów.

Te trzy zdroje — to Wysowa, Komańcza i Horyniec, a więc te, o których wiemy, że je posiadamy, lecz często zapominamy, że nie na posiadaniu rzecz się kończy. Trzy zdroje dla koneserów ich wartości lub upartych turystów. Trzy zdroje, z których jeden wybitnie przegrany, jak to wynikało z programu (co ostatecznie nie byłoby złem największym) i z naszych wieloletnich doświadczeń reporterskich (które to doświadczenia smutnie sankcjonują tę przegraną w turnieju) mają tak bardzo nierówne szanse rozwojowe, że żal o tym pisać. Możemy liczyć na Wysowę, co przecież bardzo dobrze, mniej rozumiem tylko, czemu odsuwamy od finansowej obfitości Horyniec, o którym i ja kiedyś pisałam, że zaopatrzy następne tysiąclecie w swoje nieprzebrane zasoby borowinowe, byle by tylko znalazł się sensowny użytkownik. Coś tam się robi od tej pory, coś tam się planuje, powoli, niezwykle opornie, co jednak (jak to wynikało z turnieju) przez 2 lata z okładem, jakie dzielą mnie od własnych reportaży o Horyńcu, nie krzyczy o wielkich zmianach, nie przeistacza zdroju otoczonego łąkami pachnących koniczyn w polskie uzdrowisko sensu stricto. Ale przecież dlatego, że przegrał zdrój, który kiedyś tak bardzo pasjonował mój reporterski notes — nie powód, by nie napisać dobrze o programie krakowskich reporterów telewizyjnych. Co niniejszym czyniąc, kończę obrachunki z wakacyjną przerwą.

KRYSTYNA

TV — wróg nr 1

Film japoński przeżywa poważny kryzys. Przed 10 laty każdy Japończyk odwiedzał kino 13 razy w ciągu roku, obecnie — najwyżej 4 razy. Przyczyny tego zjawiska: telewizja, motoryzacja i sport. Wrogiem nr 1 pozostaje jednak telewizja. W końcu br. 90 proc. rodzin japońskich mieć będzie telewizory, czyli że będzie ich 22 mln. W Tokio telewidzowie mają do swej dyspozycji 7 programów. Audycje rozpoczynają się wczesnym rankiem i często kończą po północy. Cztery kanały nadają programy kolorowe. W sobotę wieczorem, gdy telewizja przekazuje widowiska z music-hallów, ogląda je 21 mln osób. W niedzielę przeciętny Japończyk spędza przy telewizorze 8 godzin.

Na naszym ekranie

HUMPREY BOGART

Jakieś dziesięć czy dwanaście lat temu wędrował przez nasze ekrany amerykański melodramat „Bosonoga Contessa". Film jak film — niewielu z tych co go oglądali pamięta dziś dokładnie, o co w nim chodziło — gwiazdy miał jednak co się zowie. Contessą była Ava Gardner, jej partnerem zaś Humprey Bogart, aktor, którego się nie zapomina, jeden z wielkich ludzi amerykańskiego kina, godny stanąć obok takich bożyszcz ekranu, jak Clark Gable i Gary Cooper. — „To jest twarz" — mówili młodzi oglądający „Bosonogą Contessę", starsi zaś wspominali filmy z tym samym aktorem, takie jak „Konwój" czy „Casablanca", oglądane tuż po wojnie w nieprzytulnych, nieopalonych kinach.

Humprey Bogart nie żyje od dziesięciu lat. Zmarł w 1957 r. na raka gardła, do końca zachowując dla

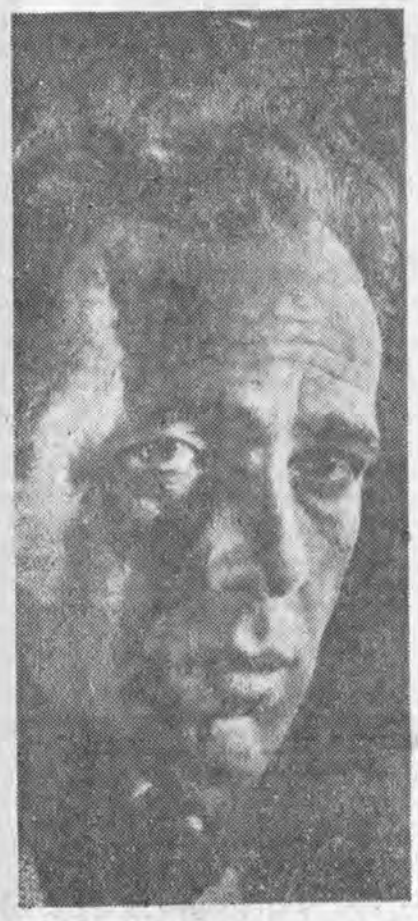

swoich bliskich pogodną twarz, zatajając przed nimi cierpienia, jakie go trawiły. „Sabrina", w której możemy go obecnie oglądać obok Audrey Hepburn jest zapewne ostatnim filmem, w jakim go zobaczymy. Warto więc przypomnieć sylwetkę aktora, który na trwałe wszedł do historii światowego kina.

Urodził się w 1899 roku w Nowej Anglii. Jego matka była popularną graficzką i akwarelistką, ojciec — znanym w Nowym Jorku lekarzem. Kiedy Bogart skończył 15 lat, wybuchła wielka wojna światowa i młody student rychło jako ochotnik wstępuje do marynarki. W czasie walki odniósł ranę, która spowodowała częściowy bezwład górnej wargi. Nadało to jego twarzy specyficzny, brutalny wyraz, co w pewnym okresie zadecydowało o rolach, jakie mu proponowano.

Karierę artystyczną rozpoczął od teatru w roku 1920. W ciągu 10 lat przeszedł drogę od prowincjonalnej sceny na deski Broadwayu, odnosząc sukcesy zwłaszcza w rolach romantycznych amantów, choć nie unikał także kreowania postaci komediowych. W 1930 roku zadebiutował w filmie „A Devil with Woman", a następnie zagrał kilka drobnych ról w jakichś komediach. Zabłysnął w 1936 roku w zrealizowanym przez Mayo filmie „Skamieniały las", w którym powtórzył graną już przez siebie na scenie rolę pozbawionego skrupułów, zimnego i okrutnego bandyty Duke'a Montee. Kreacja ta przyniosła mu sławę i odtąd gra podobne role mocnych, bezwzględnych mężczyzn w takich filmach, jak „Kid Gelahad", „Deed End" czy „The Oklahoma Kid".

Były to lata otrząsania się Ameryki z wielkich kryzysów gospodarczych. Publiczność chcąc zapomnieć o codziennych kłopotach chętnie oglądała na ekranie ludzi o silnych charakterach, zdecydowanych, nie tracących głowy w każdej sytuacji. Postacie kreowane przez Humpreya, były więc realizowaniem ówczesnego zapotrzebowania społecznego. Bogart podobnie jak Cooper i Gable jest przyjacielem Hemingwaya, pozostaje pod jego wpływem, gra jednego z bohaterów tego pisarza w filmie „Mieć i nie mieć".

Szczytowym osiągnięciem w karierze Humpreya jest rola Sama Spade w filmie Johna Hustona „Sokół maltański" (2 lata temu wyświetlano go u nas na pokazach w filmowych klubach dyskusyjnych). Sam film uważany jest za jeden z najlepszych obrazów kryminalnych w historii kinematografii, postać zaś detektywa Spade, rozwiązującego samotnie zagadkę bezcennej statuetki sokoła maltańskiego jest majstersztykiem roboty aktorskiej. Odtąd Humprey Bogart gra niemal we wszystkich filmach Hustona („Lot nad Pacyfikiem", „Skarb Sierra Madre", „Key Largo", „Afrykańska królowa" — za rolę w tym obrazie otrzymał Oscara). Poza tym grał we wspomnianym już „Konwoju", i „Casablance", a także w „Saharze", „Drodze do Marsylii", „Konflikcie", „Buncie na „Caine", „Bosonogiej Contessie" i wielu innych. W latach 1943—1949 i w roku 1953 zaliczany był do dziesiątki najbardziej popularnych aktorów amerykańskich.

Po raz ostatni pojawił się na ekranie w filmie „Dark Passage" w 1956 roku. Zmarł 14 stycznia 1957 roku.

W „Sabrinie" wchodzącej w tym miesiącu do repertuaru naszych kin gra Linusa Larrabee bogatego businessmana, który zamierza wybić z głowy ubogiej dziewczynie małżeństwo z jego romantycznym braciszkiem i sam pada ofiarą jej uroku.

(sz)

TADEUSZ BARAN — dyrektor Technikum Mechaniczno-Elektrycznego w Rzeszowie. *Rys. J. SIENKIEWICZ*

Kalman Segal

Przyjęcie z buldogiem

Siedziałem w wytwornej restauracji, w towarzystwie kilkunastu intelektualistów i estetów. Kogoś tam witaliśmy, kogoś żegnaliśmy, kto miał dar wymowy ten przemawiał, a kto nie miał daru ten słuchał. A było czego słuchać. Współczesność nie skąpi nam problemów. Mówiliśmy o sztuce i o służbie dla narodu, o cybernetyce, o polityce, o malarstwie abstrakcyjnym, o konsumpcji mydła i alkoholu, o rywalizacji między humanizmem a techniką, a także o kolosalnym wzroście zachorowań na tle psychicznym, szczególnie wśród mężczyzn żonatych. Rozmowa była dowcipna i błyskotliwa, jak zwykle między ludźmi na wysokim poziomie.

I nawet nikt nie zauważył, kiedy jeden z uczestników zaczął pić wódkę z bucika swojej przyjaciółki, a przy stole, na honorowym miejscu zasiadł olbrzymi buldog o ponurej twarzy i żarł kotlety z porcelanowego talerza ze złoconym otoczkiem. Do tego buldoga wszyscy zwracali się per ekscelencjo, ponieważ tak życzył sobie jego właściciel.

Spojrzałem z sympatią na ekscelencję i pomyślałem: — Jak to pięknie, że ludzie odnoszą się z szacunkiem nawet do zwierząt...

Zdarzenia tygodnia

Koncert symfoniczny pod dyrekcją Janusza Ambrosa zainaugurował sezon muzyczny w Rzeszowie. Orkiestra wykonała Toccatę i fugę d-moll J. S. Bacha oraz Symfonię nr VI P. Czajkowskiego. Tadeusz Żmudziński, doc. Wyższej Szkoły Muzycznej w Katowicach wykonał koncert fortepianowy c-moll S. Rachmaninowa.

✶

10 bm rozpoczyna występy w Rzeszowie zespół Państwowej Opery Objazdowej z Warszawy, kierowany przez znanego śpiewaka operowego Michała Szopskiego. Po przedstawieniach „Strasznego dworu" St. Moniuszki, rzeszowianie usłyszą jeszcze „Halkę" a następnie „Fausta" Ch. Gounoda.

✶

7 bm. w Wojewódzkim Domu Kultury odbyło się spotkanie mieszkańców Rzeszowa z Olgierdem Budrewiczem, autorem publikowanych w „Przekroju" reportaży oraz autorem książek m. in. „Baedeker warszawski" i innych.

✶

W Muzeum Ziemi Przemyskiej czynna jest wystawa pn. „Moda kobieca". Ekspozycja zawiera kompletne stroje mieszczanek z XIX i XX wieku, biżuterię i galanterię, pochodzące ze zbiorów własnych muzeum. Wystawę uzupełniono stylowymi meblami z tego okresu.

✶

Ukazał się drukiem I tom Biblioteki Przemyskiej pt. „Przemyśl w starożytności i średniowieczu". Wydawnictwo zawiera 2 rozprawy A. Kunysza i Fr. Persowskiego, obejmujące dzieje Przemyśla od czasów najdawniejszych po rok 1340.

Wydawcą jest Przemyskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, fundatorem krakowski oddział Polskiej Akademii Nauk.

✶

5 września odbyło się w Rzeszowie spotkanie członków powstałego przy Muzeum Okręgowym koła miłośników ekslibrisu, skupiającego zbieraczy i miłośników tej dziedziny sztuki.

Spotkania będą się odbywały w każdy pierwszy wtorek miesiąca, na których będą omawiane najnowsze wydarzenia oraz wymiana informacji.

✶

W Wisłoku w okolicy dzielnicy Rzeszowa Drabinianka znaleziono przypadkowo fragmenty kła mamuta i ząb. Znaleziska te są specyficznymi okazami ze względu na ich rozmiary, świadczącymi o niebywałym wzroście tego zwierzęcia. Okazy wzbogaciły zbiory Działu Archeologicznego Muzeum Okręgowego w Rzeszowie.

Naród od urodzenia rad wędruje!

(Ciąg dalszy ze str. 3)

stałą ekspozycję muzealną, obrazującą warunki życia w obozie oraz ruch oporu więźniów organizowany także przez Polaków. W zarządzie międzynarodowej organizacji ruchu oporu był Jan Izydorczyk, Polacy skonstruowali radio (jest pokazane w muzeum), produkowali broń, walczyli w powstaniu zorganizowanym przez więźniów, przyczyniając się do uwolnienia obozu.

Film, który ukazuje historię obozu, a zawiera także zdjęcia dokumentalne, prezentowany jest grupom zwiedzających z komentarzem w różnych wersjach językowych. Bohaterstwo Polaków — więźniów, ich solidarność, ofiara i męczeństwo są w pełni ukazane. Film informuje o tym, jak ważną rolę w tajnym życiu obozu odgrywała polska grupa w międzynarodowym ruchu oporu.

Na południowym stoku wzgórza zbudowano ze składek międzynarodowych i z dotacji rządu NRD wielki pomnik — Mauzoleum. Na szczycie budowli umieszczono dzwon odlany z monet składanych na fundusz budowy przez organizacje kombatanckie wszystkich krajów europejskich oraz z drutów kolczastych otaczających obóz. Powstał symbol pamięci przypominający o każdej godzinie swym dźwiękiem o męczeństwie społeczeństw podbitej przez hitleryzm Europy.

Do Mauzoleum prowadzi droga nazywana „Drogą Narodów", przy której wzniesiono 18 kamiennych pomników wykończonych zniczami, dla upamiętnienia męczeństwa ludzi pochodzących z 18 krajów.

Odnotowane wyżej polonica — pamiątki i ślady Polaków w południowej części NRD, zachowane i utrwalone, otoczone troską miejscowego społeczeństwa, są licznie odwiedzane przez polskich turystów. Kwiaty składane w miejscach martyrologii są wyrazem pamięci żywej i serdecznej.

MIECZYSŁAW WIELICZKO

O Głogowie jeszcze raz

Pewien kalif — może miał na imię Omar, a może inaczej — kiedy mu jako zdobywcy przyniesiono bezcenne, archaiczne rękopisy, miał się wyrazić: spalcie tę bibułę; to wszystko już było. A więc, o tym co było i będzie tych słów kilka.

W dniu 26 sierpnia br. odbyło się posiedzenie Prezydium MRN w Głogowie. Zasadniczym tematem było omówienie planów z okazji zbliżającego się 400-lecia miasteczka. Debatowano nad wydawnictwem, o „izbie pamiątek", a... ze szczególnym zacięciem nad problemem utworzenia w Głogowie miejsca wypoczynkowego dla mieszkańców Rzeszowa. Sosnowe lasy, woda mogą naprawdę dać zmęczonemu człowiekowi gruntowny wypoczynek. W sumie miejsce wręcz wymarzone. Ale — czy „tego już nie było". Przewróćmy tedy kilkanaście kart z historii Głogowa.

Jakieś 200 kroków czy metrów na wschód od wytypowanego miejsca — pod odpoczynek — znajdują się rozległe zabudowania Lnianki, nowoczesnej fabryki tkackiej. W jej dzisiejszej formie nawet bystremu oku trudno byłoby dojrzeć coś historycznego, romantycznego. A jednak ja sam pamiętam i to wcale dobrze, jak z bramy na rosłych koniach wyjeżdżali barwnie ubrani dragoni, austriaccy kawalerzyści, których pełny szwadron stacjonował w Głogowie niemal cały wiek. Pamiętam... czerwone spodnie, siwe kurtki, wysokie, metalowe czaka, błyszczące szable. Ten i wiele innych tego rodzaju szwadronów, porozrzucanych po całej Galicji, miały trzymać w ryzach „wiernych" Galicjanów jego cesarskiej mości, mieszkającej w dalekim Wiedniu. Czy dużo ludzi wie, że szwadrony austriackiej kawalerii — niezależnie od Rzeszowa — stały: w Głogowie, w Kolbuszowej, Łańcucie, nawet w Żołyni?

Ze szwadronem stacjonującym w Głogowie, z sądem powiatowym działającym w tym miasteczku, urzędem skarbowym, notariatem, zarządem dóbr itp. związany był termin i urządzenia. „Balowa Górka". Jest to wysoka i rozległa wydma piaszczysta — dziś porosła wspaniałym lasem — a znajdująca się właśnie na terenie wypoczynkowym. Już sam termin jasno mówi, że tutaj odbywały się świetne bale, w okresie beztroskiego XIX wieku. Chyba na wzór balów XVIII-wiecznych, owych romantycznych, jakie zostały uwiecznione na obrazach rokokowych malarzy. Ale... czyżby wysznurowani austriaccy oficerowie odkryli owe czarowne miejsce, w lesie, nad stawami?...

W książce „Romans prababki" St. Wasylewski pisze (str. 3) „Starościanka bolemowska była jedynaczką i chowała się u pani matki w Głogowie". (...) „nie znała ojca (...) starosta Jan Lubomirski zmarły w r. 1736 zaszczytów wielkich nie dopiął (...) dumna tarcza herbowa u wjazdowej bramy w Głogowie przypomina co dzień ojcowy ród i familię..." Pani matka rodziła się z Branickiej i siostrą była hetmanowi..."

Tak, Jan Lubomirski wywodził się z Rzeszowa, a jego żona Urszula, siostra hetmana Branickiego, pana na Białymstoku i... Tyczynie. Wszystko „nasza Historia Dalej — jak pisze Wasylewski, obie panie często jechały do brata i wuja, do Białego Stoku, gdzie, „ogrody były cudowne (...) pomarańczarnie i ptaszarnie... wiemy, znamy tamte cudowności, które smutno się zakończyły dla Rzeczypospolitej. Ale panie, po użyciu białostockich rozkoszy po jakimś czasie jednak musiały wracać do Głogowa, który w porównaniu z rezydencją brata i wuja był „wiochą". Ambitna pani Urszula postanowiła tedy zrobić chociaż namiastkę tamtego i...

Elżbieta z Kowalskich Drużbacka, w Zbiorze Rytmów... wydanych w Warszawie w r. 1752 zamieściła wiersz, pt. „Opisanie Retyrady J. O. Księżnej Urszuli z Branickich Lubomirskiej", a w nim takie opisy:

„Wchodzę do gaju bliskiej promenady... ścieżki zawiłym sposobem robione... łaskawe leżą po drogach daniele... żal mi wychodzić z rozkosznego boru... aż wnet się długie pokazują mosty... obaczę kręty potok w dziwnym kursie... wyniosłe drzewa sadzone szeregiem..." i wreszcie:

„Słusznie ktoś nazwał ten dom Retyrada. Bo w nim każdemu grzeczna pani włada". Tj. Urszula z Branickich Lubomirska.

Julian Nieć, historyk Rzeszowszczyzny, w książce „Rzeszowskie za Sasów" na str. 90 pisze: „jedna z pierwszych — Urszula Lubomirska — stworzyła sielską willegiaturę, prototyp późniejszych Arkadii i Zofiówek".

Przetrzej Czytelniku oczy; to wszystko odnosi się do rzeczki, stawów, lasu i pagórka, gdzie jest projektowane miejsce wypoczynkowe dla rzeszowskiego świata pracy. Wprawdzie — jak powiedział kalif — nic nowego pod słońcem, tak więc na starym miejscu powstanie nowoczesny ośrodek wypoczynkowy.

FRANCISZEK KOTULA

Wydaje Wydawnictwo Prasowe „Nowiny Rzeszowskie" — RSW „Prasa". Adres redakcji: Rzeszów, ul. Żeromskiego 5. Telefony: 2851, 2057 — wewn. 198. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.